POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — *Dnia 18-go marca 1944r.* — **Rok VI. Nr. 11**

POTRZEBA NOWEJ WIZJI

Józef Winiewicz, jeden z najlepszych u nas znawców zagadnień niemieckich, rzadki u nas typ dziennikarza i publicysty opierającego swoje wywody na rzetelnym znawstwie przedmiotu, swój artykuł: "Niemcy w ofensywie" zamieszczony w nr. 9-ym "Polski Walczącej" zakończył zdaniem, że potrzeba nam dzisiaj nowej koncepcji, nowej idei politycznej, nowej wizji świata.

PRZYMUS PLANOWANIA I NAKAZ CIĄGŁEJ KONTROLI PLANÓW

Zagadnienie nowej wizji świata, potrzeby nowej idei, planu, myśli — oto, rzec można by, podskórny nurt tej wojny. Od samego jej zarania pisarze, publicyści, niektórzy politycy mówili o zarysach tego "*brave new world,*" nowego wspaniałego świata, który wyłonić się ma z odmętu tej wojny. Myślenie i planowanie w warunkach, kiedy wszystko się wali i kruszy, kiedy zniszczenie przemierza potwornymi krokami Europę i świat, zdaje się niektórym zajęciem przedwczesnym. Być może, ale jest to odruch optymistyczny życia: nie chce ono zatrzymać się na obrazie zniszczenia, na ruinach, na tragizmie śmierci. Chce ono przeskoczyć ruiny, przedrzeć zasłonę nocy, zajrzeć poza skraj przepaści, w którą runęło nasze wczoraj.

Myśl ludzka nie dała się sparaliżować nalotami, nie ulękła się okrucieństwa wojny totalnej. We wszystkich krajach Europy, na łamach prasy tajnej, krzewi się myśl o jutrze. Wydaje się, że bez tego myślenia o jutrze dla wielu ludzi nie byłoby możliwe przetrwanie niesamowitego dzisiaj.

Wiele z tych planów i myśli rozproszy wiatr wypadków. Wiele z tych marzeń, szlachetnych i koniecznych, przekreśli siła zdarzeń. Wiele z planów, jakie snuliśmy na wstępie wojny, trzeba na nowo przemyślać, poprawiać. Trzeba zastanowić się, co zostało z planów, jakie na wstępie wojny nieraz naiwnie kreśliliśmy?

Myśl i wizja wtedy tylko są twórcze, jeżeli stale i ciągle są w zespoleniu z warunkami ludzkimi, jeżeli utrzymują kontakt z ziemią, jeżeli nie lękają się dokonywania zmian, poprawek, jeżeli nie ulękną się nawet brutalnej samokrytyki. Istnieje w świecie myśli ludzkiej osobliwa odpowiedzialność wobec siebie samej, istnieje sprawiedliwość wymierzana samej sobie przez tę myśl, istnieją dramaty lojalności i wierności — dramaty odwagi, albowiem myślenie, to często, zbyt często akt odwagi. Nieraz równie wzniosłej jak czyn.

GŁOS INSTYNKTU SAMOZACHOWAWCZEGO

Runięcie Polski i zawalenie się Francji sprawiły, iż dla wielu przybrało to wszystko rozmiary jakiegoś kataklizmu — narodowego, europejskiego, jako że Francja była zawsze symbolem kultury Europy. Stąd wysnuwało się wnioski, że świat jaki pojawi się jutro, po ustąpieniu fal potopu, będzie czymś nowym, nieznanym. Że niemal kamień na kamieniu nie zostanie z naszego wczoraj, że wszystko trzeba będzie stawiać od nowa. Że nie tylko żelazny pług niemiecki przeorze Europę, a bomby sojusznicze zrujnują wiele, ale że również dokona się w społeczeństwach tak daleko sięgająca rewolucja i przemiana, że staniemy po wojnie wobec całkowicie nowego obrazu.

Dzisiaj dochodzimy do, jak się zdaje, bardziej rozsądnego i zrównoważonego wniosku. Niemiecki "nowy ład" przyniósł zniszczenie, ruiny — to, co naniósł jest to raczej powierzchowny nalot. Przemiany społeczne są na pewno znaczne, jakkolwiek nierówne we wszystkich krajach; proletaryzacja, zubożenie Europy jest ogromne. Ale możliwości rewolucyjne Europy nie okazały się na razie zbyt wielkie. Raczej wrażeniem, jakie góruje dzisiaj, jest pewna apatia, zmęczenie, niedożywienie — i to zarówno fizyczne, jak duchowe.

Ludy Europy są zmęczone, zgnębione, pragną ładu, pokoju, spokoju. Chciałyby zachować wiele z tego, co stanowiło świat wczoraj, chciałyby zachować tę schedę kultury, obyczaju ludzkiego, nawyku, która zaatakowana została przez państwa totalne jeszcze przed wojną. Kultura jest zjawiskiem konserwatywnym: jest ona bowiem krucha, a jednocześnie niesłychanie odporna. Reaguje na gwałt — lękiem. Ale gdy jest zagrożona, poniewierana, znajduje w sobie siły niezwykłe, podnosi się szybko i — trwa. Hitler nie wygrał walki z Europą. Ale też Europa jest wykrwawiona, słaba. Pragnie spokoju, pragnie uniknąć dalszych strat. Zbudził się w niej nie tyle zryw rewolucyjny, co instynkt samozachowawczy — a zatem i zachowawczy w ogóle.

W tych warunkach wizja jutra oparta być musi na jakimś rzetelnym kompromisie, twórczym kompromisie wczoraj i nowości. Nic nie powstaje na pustyni — niszczenie, tworzenie *tabula rasa*, ażeby na tym coś nowego zbudować, to może być marzenie architekta, ale nie może stanowić wizji człowieka mającego do czynienia z żywym materiałem ludzkim, z surowcem kultury.

O EUROPIE BEZ EUROPY?

Istotnie, odczuwamy dzisiaj brak myśli politycznej wielkiego formatu. "Nowy ład" runął w niesławę. Myśl sojusznicza wyrażona w formułach — bardzo ogólnych zresztą — "Karty Atlantyckiej," wyczerpała się jakby na tych ujęciach. Dzisiaj się je nawet jakby odwołuje, jakby zawiesza ich działanie. Na ich miejsce nie przychodzi nic nowego.

Europa jest — po raz pierwszy chyba w dobie swojej historycznej świadomości — przedmiotem sporu. Jest wyeliminowana, wyłączona /na chwilę?/ z obiegu. O losach jej stanowić ma W. Brytania, państwo zakotwiczone u jej brzegów, ale nie w Europie będące, USA, twór Europy na innym kontynencie innej półkuli, Rosja, jedną tylko nogą w Europie stojąca, a nie od dzisiaj zaznaczająca swój udział w sprawach Azji. Cały pomysł "*Big Three,*" owej wielkiej trójki mocarstw jest dla Europy zjawiskiem wysoce niepokojącym, jeżeli nie obrazą. Oto bowiem trzy pozaeuropejskie mocarstwa mają stanowić o losach tego siedliska myśli, rozumu, olbrzymich zasabów, źródła rasy białej, dumy, poczucia misji; wszystko to teraz stało się przedmiotem targu, Europa nie ma głosu.

Jest to widowisko tragiczne i niepokojące. Nic dziwnego, że na tym tle czarne przeczucia kresu Europy, niepokoje schyłkowe, ożywają znowu. Czyż Europa jest istotnie już skończona? Czy stanie się przedmiotem gry *Big Three*? Czy teoria wielkich obszarów zada śmiertelny cios Europie? Pytania takie są uprawnione; trzeba odpowiedzieć na nie, albowiem od odpowiedzi na nie zależy w dużej mierze owa "nowa wizja świata."

Stwierdziliśmy już, że "nowy ład" Hitlera runął. Warto dzisiaj przypomnieć i uświadomić sobie, dlaczego tak się stało. Właśnie dzisiaj, kiedy nad myślą sojuszników zaczyna unosić się niepokojąco przeświadczenie, że wojna jest przede wszystkim, jeżeli nie wyłącznie, sprawą strategii, *a military expediency*. Przewagi wojenne Hitlera były olbrzymie. Są one po dziś dzień — powiedzmy to otwarcie — nieprześcignione. Armie jego zapędziły się na Kaukaz, pod Moskwę, były pod Kairem, są dalej pod Biarritz, Nord Cap, pod Petsamo. Cofają się powoli, są niepobite.

I cóż z tego? Wojna przez Niemców jest przegrana, nie tylko dlatego, że zorganizowały się przeciwko nim siły poważniejsze, niż sami sądzili. Ich zwycięstwa okazały się płonne, albowiem były t y l k o przewagami militarnymi. Na tym nikt jeszcze nie zbudował ładu, nowego czy starego. Mogło to być możliwe w czasach zamierzchłych, ale nawet podbój rzymski niósł inne wartości, szedł z wyższą kulturą. Dlatego wytrwał wiele, wiele wieków, gdy się zawaliło *Imperium Romanum*. Podbój niemiecki był czystym podbojem i dlatego nie mógł być trwały. Był oparty na brutalności, niszczeniu, na braku myśli politycznej. Nic z tego nie wyszło, poza potwornością zniszczenia.

Dlatego nie można poprzestać na *military expediency*. Dlatego trzeba mieć plan, myśl, politykę. Brak tych narzędzi zwycięstwa odbić się może wręcz katastrofalnie na naszej sprawie.

Europy podbić nie można w warunkach nowoczesnych — siłą. Natomiast okazało się, że Europa poddaje się inwazji myśli ludzkiej, wielkiej idei. Chrześcijaństwo, przedtem prawo rzymskie, potem kultura francuska okazały się trwałymi na długo podbojami. Europa podda się — tak by wnioskować należało — wielkiej myśli. Jakiej? Politycznej, gospodarczej, kulturalnej. Gdzie jej szukać? Trzeba ją stworzyć samemu — w obrębie Europy.

IDEA JEDNOŚCI EUROPEJSKIEJ

Mimo wszystkich bowiem ponurych wskazówek, Europa nie jest jeszcze wyschłym źródłem. Okazało się, że nie uległa materialistycznemu zawołaniu Hitlera. Że nie poszła na pasku ekonomii totalnej popartej terrorem. Pokazała, że wartości duchowe, moralne mają dalej wyższą cenę. Nawet w tych krajach, które ceniły dobrobyt przede wszystkim, jak: Dania, Holandia, Norwegia, dzisiaj jesteśmy świadkami obudzenia się sił duchowych, przekonania, że jednak jest wartość ludzka zwana wolnością, o której cenie zapominało się często w dostatnich demokracjach.

Europa jest dzisiaj poniechana, ale właśnie dlatego oraz pod naciskiem nowych konieczności i gróźb, mogą się z niej wykrystalizować nowe wartości. Ponieważ jest osaczona, ponieważ odmawia się jej odegrania należnej roli, może ona szybciej dojść do zjednoczenia swojego porozrywanego obszaru. Wydaje mi się, że nie ma myśli bardziej twórczej w Europie jak ta właśnie: połączenia, integracji kontynentu.

Nie jest to myśl nowa. Przeciwnie, jest ona tak dawna i tak czcigodna, jak sama Europa. Ile razy pojawia się zagrożenie Europy, ile razy wątpi się w jej siły, tyle razy pojawia się ta myśl, jako coś odruchowego. Była ta myśl w dobie średniowiecza, kiedy groziły obce najazdy, była ta myśl w dobie odrodzenia, kiedy nauka, wiedza, sztuka zaczęły czerpać na nowo w odkopanym źródle natchnień: Grecji i Rzymie, była ta myśl potem, w dobie rewolucji francuskiej, w memoriale pisanym przez Napoleona w Moskwie, kiedy marzył on o Stanach Zjednoczonych Europy. Pojawiła się ta myśl znowu po wojnie ubiegłej, kiedy Briand, wyśmiewany przez licznych małodusznych, rzucił myśl Pan-Europy, podjętą przez Coudenhove-Calergi i innych. Dzisiaj przypomniał ją w Izbie Gmin poseł Hore-Belisha w debacie po mowie Churchilla, przypomniał ją świeżo w odczycie w Oxfordzie Sir Walter Layton, jeden z czołowych ekonomistów W. Brytanii /patrz streszczenie jej w "*News Chronicle*" z dnia 4.III./.

Wydaje się, że myśl ta może dać nareszcie wyniki, owoce. Albowiem rozwój wiedzy współczesnej posunął się tak daleko, samolot tak poważnie zagroził zarówno pojęciu granic strategicznych jak dawnemu pojęciu suwerenności państwa, że trzeba sterować ku innym szlakom. Przestrzeń się skurczyła, umysły ludzkie obejmują dzisiaj więcej przestrzeni i chociaż serca nie nadążają temu rozwojowi, to jednak wiele wskazuje na to, że wojna ta stwarza lepsze, niż kiedykolwiek szanse powiązania Europy.

Europa cofa się w głąb, cofa się w siebie. Wydaje się chwilami, że wyprawa łupieska Hitlera oznacza końcowe stadium ambicji Europy, jeżeli chodzi o podboje. Wyprawa ta udała się Hitlerowi tylko dlatego, że zrebarbaryzował własny naród, że cofnął ten naród do pierwotnych założeń szczepu, że poszedł na niebywałe cofnięcie nurtu kultury. Ale i ta próba nie powiodła się. Hitler wydaje się nie tylko szczytowym punktem rozmachu ekspansji Europy, ale także i szczytowym punktem zaborczego nacjonalizmu. Doprowadził on bowiem ten nacjonalizm do końcowego, a równocześnie podstawowego założenia: do miazgi szczepu, do zawołania rasy. Ale założenie rasowe jest założeniem anty-kulturalnym. Europa nie da się zorganizować na podstawach rasowych — wszystko jedno niemieckich czy innych.

Europa cofa się w siebie, organizuje obronę w głąb swojej kultury, swoich ludzkich wartości. Ambicje podboju państw wygasają. Natomiast rodzi się poczucie jedności naszej kultury: coraz więcej ludzi rozumie, że pojęcie "Europejczyk" nie jest czymś wymyślonym. Zagrożenie podstaw naszej kultury i schedy myśli europejskiej sprawiło, że coraz więcej osób czuje się Europejczykami, nie tylko Holendrami, Francuzami, Norwegami czy Polakami.

Tradycja ta nie jest nam obca, przeciwnie — jest rdzeniem naszej kultury, zawsze otwartej na wpływy Zachodu i Południa, obcej rasowości, tępemu segregowaniu na narodowości. Tradycja unii trzech narodów, polskiego *Commonwealth of Nations*, była przeciwna ciasnocie nacjonalizmu. Nacjonalizm polski był wielką, twórczą koniecznością, albowiem byt narodu był wtedy zagrożony. Wielkość nowej Polski może być budowana tylko na przesłankach kultury, tolerancji, ekspansji duchowej.

Mickiewicz w "Wierszu do Lelewela" powiedział ważkie słowa o "Polaku . . . mieszkańcu Europy." Dzisiaj te słowa mickiewiczowskie wracają do nas wraz ze słowami "Ody," wezwania, by "ludzkości całej ogromy przenikać z końca do końca." Myśli, jakie dzisiaj snujemy, zapalały już natchnienie w genialnym filomacie wileńskim. Nie ma bowiem nadmiernie nowych szlaków w dziejach Europy: ale ten szlak, chociaż stary, jest twórczy, wiedzie bowiem do nowego rozkwitu kontynentu, organizującego swoją obronę w głąb.

MUSIMY PRAGNĄĆ NIEMOŻLIWEGO

To wydaje mi się wizją nową — nową, a jednak dawną, wyrastającą z ziemi i gleby Europy. Państwa będą wyłaniały się w nowych kształtach — pod każdym względem. Potop wojny wyrwie niejeden brzeg, poszarpie niejedną skarpę. Wiele z nawyków, jakie myśl nasza wykarmiła, przepadnie. Straszliwy niepokój, zawieszenie, niepewność — wszystko to będzie udziałem rodzącego się nowego świata. Nowego — z poprawkami i zastrzeżeniami. Albowiem tak jak dorosły człowiek nie może rozpocząć n o w e g o życia, chociaż by chciał nie wiem jak, tak i ludzkość nie może rozpocząć tego życia od całkowicie nowej karty. Ale prawem jej: tragicznym prawem, jest wola zaczynania tego życia od nowa.

Powiedział raz Joseph Conrad, że "jest to nieprawdopodobnym nieszczęściem i jednym z najbardziej wzniosłych przywilejów ludzkości dążyć ciągle do niemożliwego." Powiedział też jeden z wielkich ludzi Francji, że "trzeba pragnąć niemożliwego, ażeby urzeczywistnić jedną nieznaną możliwość." W tych dwóch myślach zawiera się bodaj tragizm wszelkiego ludzkiego usiłowania i dążenia.

W chwili, gdy walą się sklepienia dawnego świata, kiedy nie wiemy jeszcze, jak będzie wyglądać świat nowy, potrzeba nam odwagi oderwania się od wielu rzeczy wczoraj, ale i ukochania tych rzeczy wczoraj, które zachować musimy. Niepokój i niezaspokojenie, jakie nurtują dzisiaj Europę i ludzkość są zjawiskiem bynajmniej nie politycznym. Nie są również zjawiskiem gospodarczym. Jest na dnie tego wszystkiego kryzys naszej kultury, religii, albowiem poniechawszy religii objawionych, ludzkość próbuje religii politycznych. Odbudowa świata nie przyjdzie przez recepty polityczne. Musi ona być rozpoczęta od rzeczy moralnych, od ratowania wartości prawa. Musi być ona rozpoczęta od zasad wychowania. Ale to są już rzeczy, które nadają się do osobnych rozważań.

Nie widzę piękniejszej, bardziej twórczej myśli naszego pokolenia: średniego zarówno jak młodego, jak zawołanie scalenia Europy. Jest to zadanie trudne, bardzo trudne; ale właśnie dlatego podjęte być musi. Ktoś powie, że są to mrzonki. Ale odpowiedź będzie prosta: *bez scalenia Europy, bez powołania do życia systemu międzynarodowego bezpieczeństwa, bez przywrócenia godności prawu, bez jakiejś mocnej instytucji międzynarodowego autorytetu — będziemy iść ku nowej katastrofie. Musimy pragnąć niemożliwego, ażeby przybliżyć chociażby możliwość tego, co nie od dzisiaj tkwi w myślach i pragnieniach Europy.*

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Szkic sytuacyjny

POCHÓD NA UKRAINIE

Postępy wojsk sowieckich na Ukrainie osiągnięte w ostatnich dniach doprowadziły wojska rosyjskie w pobliże Chersonia i zagrażają poważnie armii Mannsteina. Najdalej na zachód wysunięta szpica sowiecka wbija się w Tarnopol. Walki uliczne w Tarnopolu trwają w chwili, gdy piszemy te słowa.

Zmiana generała Watutina wyszła, jak się okazuje, na dobre wojskom sowieckim, albowiem marszałek Żukow, żołnierz doskonały, wytrawny, wsławiony swoimi akcjami obronnymi i zaczepnymi, przeszedł do uderzenia na dużą skalę. Strategia sowiecka nie przywiązuje się szczególnie do generałów: zmienia ich wtedy, gdy trzeba, gdy okazują zmęczenie, albo nie doprowadzają działań do skutecznego finału. Podobnie zresztą postępuje strategia niemiecka: generałowie niemieccy zmieniają się na wszystkich frontach i przerzucani są z frontu na front. Hitler zapoczątkował i rozwinął tego rodzaju metodę. Okazała się ona dobra, chociaż nie zawsze tak dobra, jak to obiecywała sobie strategia OKW /*Oberkommando der Wehrmacht*/. Wydaje się, że Rosjanie poszli śladami Niemców i że wydoskonalili swoje w tym względzie metody i obyczaje.

Z każdą kampanią Rosjanie wykazują postępy: ich strategia jest coraz bardziej giętka i przedsiębiorcza, ich metody są udoskonalone. Wydaje się, że istotnie w nowoczesnej strategii trzeba zmiany na naczelnych stanowiskach i że nie należy się przywiązywać do dowódców. Naczelne władze wojskowe w armiach niemieckiej czy sowieckiej to jakby wielkie koło, które toczy się i obraca: w tej rotacji generałowie i dowódcy zmieniają się, przechodzą na coraz to inne odcinki. Przypuszczalnie tylko taki dowódca, który się nie "zasiedzi," ma nowość spojrzenia, ma potrzebną energię.

Uderzenia sowieckie wykazują giętkość, która jest również wydoskonaloną metodą niemiecką. Raz jeden, to znowu drugi, to trzeci odcinek frontu zaczyna "grać." Uderzenia na północy w kierunku na Narwę osłabły, ucichły również walki koło Równego i Łucka, natomiast przeszła do akcji naprzód grupa pierwszej armii ukraińskiej, potem trzeciej, potem czwartej. Coraz to inne odcinki frontu wchodzą w obręb ognia. Front jest zatem jakby olbrzymim instrumentem, w którym uderza się w rozmaite klawisze, badając odporność tego czy innego klawisza czy zespołu klawiszy.

Akcja na Ukrainie jest poważnie zakrojonym działaniem. Szpica pod Łuckiem i Równem stanęła, ale nie potrzebuje się ona zbytnio obawiać ataku od północy, albowiem chroniona jest przez bagna. Cały ten okręg usiany jest partyzantami, a zatem wojska sowieckie mogą być spokojne, że flance ich nic nie grozi. Uderzenie na Tarnopol dowodzi, iż wojska sowieckie prą na Lwów i to od strony, gdzie przeszkody naturalne nie są wielkie i gdzie nie trzeba forsować jarów rzek.

Obrona niemiecka jest dalej silna. Niemcy ustępują wyraźnie, nie ryzykując osaczenia /operacja saka korsuńskiego nie powiodła się stronie sowieckiej, albowiem wojska niemieckie wyciekły korytarzem wyrąbanym przez armię niemiecką/. Wydaje się, że wojska niemieckie czują teraz, że nieco za długo siedziały na południu, że trzeba bazy czarnomorskie oddać wrogowi. To tłomaczy szybkość odwrotu niemieckiego na południu, porzucenie sporej ilości sprzętu pod Humaniem.

Nie wiemy, na jakiej linii wojska niemieckie stawią silniejszy opór. Ochrona pól naftowych Rumunii jest dalej celem cofających się wojsk i dlatego opór na południu jest najsilniejszy. *Wpuszczanie do Polski dowodzi, że wojska niemieckie najchętniej ustępują na środkowym odcinku i że chcą one zamienić Polskę w pole walk na olbrzymią skalę.* Jeżeli tempo odwrotu potrwa dalej, to najbliższe miesiące będą miesiącami walk w Polsce na coraz to szerszym froncie. Już nieraz podkreślaliśmy w tych uwagach, że strategia niemiecka nie ma innego wyjścia, jeno stałe cofanie się i że przed późną wiosną nie należy oczekiwać uderzenia niemieckiego, wykorzystującego wielkie pogotowie niemieckie w Polsce /ok. 80 dywizyj/.

Cofanie się niemieckie będzie przypuszczalnie cechą najbliższych tygodni, przy czym nie sposób obliczyć tempa tego cofania się. Na froncie wschodnim przepowiadanie okazało się nader zawodnym zajęciem. Przeważnie zawodne okazało się liczenie na bardzo szybkie tempo pochodu sowieckiego. Wojska czerwone działają systemem zrywów, posuwania się które zostaje nagle zahamowane z tych czy innych powodów. Przypuszczalnie wojska sowieckie rozumieją dobrze potrzebę doprowadzania sprzętu, zasobów, naprawienia linii i t.d. To wszystko *wymaga czasu* i wojska sowieckie nie dają się zwabić do zbyt daleko idących i sięgających wypadów. Skoro tak jest i skoro strategia sowiecka wykazuje godną uwagi i pochwały ostrożność, to nie należy przypuszczać, ażeby postępy sowieckie były tak efektowne i "*spectacular*" w następnych tygodniach. Raczej przypuszczać by wolno, iż strategia sowiecka będzie dalej operowała graniem to na jednym, to na drugim odcinku, zmianą rejestrów i dowódców, będzie się odznaczała giętkością i elastycznością, słowem, że nie przejdzie do jakiegoś łamania całej linii frontu.

Doniesienia, jakie nadchodzą z frontu powiadają, że użycie kawalerii przez stronę sowiecką jest bardzo poważne. Raz jeszcze okazuje się, że strategia sowiecka była tutaj przewidująca. Kawaleria w okresie błot i roztopów jest bardzo przydatna i ruchliwość jej jest większa, aniżeli wszelkiej trakcji motorowej. Wojska niemieckie cierpią poważnie na tym, albowiem nie rozwinęły one kawalerii na tę skalę. Przewaga sowiecka w tych trudnych warunkach atmosferycznych, to przewaga dobrze dobranej broni, dobranej akurat "pod pogodę."

Armia niemiecka nie wykazuje nigdzie oznak pękania. Pisma poważniejsze W. Brytanii dalej ostrzegają przed niedocenianiem siły niemieckiej. Tylko prasa brukowa głosi sensacyjne wieści, według których już wiele razy front się łamał, pękał, Niemcy uciekali w popłochu, słowem całe Niemcy były już w gruzach i ruinie. Należy wystrzegać się tego rodzaju sensacyjnego ujmowania sprawy: wszystko wskazuje na to, że działania na froncie wschodnim będą długie i żmudne i że nie powiedziano tam ostatniego słowa.

BOMBARDOWANIA WŁOCH I JUGOSŁAWII

Genua, Florencja, Padwa — oto nowe obiekty, które znalazły się pod bombami. Fronty "ziemne" nie przejawiają wielkiego ożywienia. Niszczenie lotnicze Włoch postępuje, ale coraz więcej ludzi zgłasza wątpliwości co do frontu włoskiego.

Doskonały znawca wojskowy Miksche w artykule zamieszczonym na łamach "*Manchester Guardian*" zaznaczył niedawno, że front włoski przedstawia się niekorzystnie, albowiem nawet gdyby udało się sforsować daleko linię frontu, to bariera Alp chroni Rzeszę. Tym samym to "miękkie podbrzusze osi" /*soft underbelly of the Axis*/ okazało się nie takie znowu miękkie. Miksche zdaje się wątpić w celowość działań włoskich.

Zastrzeżenia te wypowiadaliśmy na tych łamach już kilkakrotnie. Jugosławia nasuwała się jako doskonały front, o ileż łatwiejszy, aniżeli Włochy. Pobrzeże Dalmacji było wolne w chwili zawalenia się Mussoliniego. Należało tam uderzać. Nie wiemy, czy działała tutaj "sfera wpływów" i czy Bałkany były *tabu* dla sojuszników, albowiem już ktoś inny miał tam przydział. Jeżeli tak było, to trzeba przyznać, że takie podziały zemściły się straszliwie na całej strategii. Polityka nie powinna hamować strategii. Względy polityczne zwyciężyły we Włoszech — strategicznie Włochy zdają się być, przynajmniej w tej chwili, ślepą ulicą.

Kontrtorpedowce brytyjskie bombardują cele w Jugosławii. Piękna wyspa Korczula, istne dzieło sztuki, została zbombardowana. Wyspa ta stała otworem przed paru miesiącami — trzeba tylko było sięgnąć po nią. Tragiczne spóźnienie raz jeszcze zemściło się. Polityka pognębiła strategię.

SPRAWY SOWIECKO-POLSKIE

"*Observer*," który od dłuższego już czasu podaje niedyskrecje polityczne, niemal z reguły sprawdzające się w kilka dni potem, przynosi dn. 12.III. doniesienie, że odpowiedź marszałka Stalina na propozycję polską jeszcze nie nadeszła, albowiem Stalin udał się na objazd frontu ukraińskiego, ale że uwagi rosyjskiego przywódcy zostały zakomunikowane ambasadorowi brytyjskiemu w Moskwie.

Uwagi te, jak powiada "*Observer*," streszczają się w tym, że strona sowiecka domaga się przyjęcia linii Curzona jako granicy wschodniej Rzplitej oraz dokonania zmian w rządzie. Polskie propozycje szły w kierunku tymczasowej linii demarkacyjnej biegnącej na wschód od Wilna i Lwowa.

"*Observer*" stwierdza — podobnie jak to czyni "*Economist*" z dnia 11.III., co sugeruje, że obie wiadomości pochodzą z tego samego źródła — iż stanowisko Wodza Naczelnego jest sprawą nader osobliwą "ekscentrycznej konstytucji polskiej." Atak kierowany na stanowisko Wodza Naczelnego złagodzony jest tym, iż — porównuje się /zarówno w "*Economist*" jak "*Observer*"/ postawę sowiecką wobec Finlandii a Polski. O ile w stosunku do Finlandii rząd sowiecki zachowuje powściągliwość, oraz nie waha się rokować z rządem Mannerheima i Tannera, to wobec Polaków rząd sowiecki okazuje o wiele większe nieprzejednanie.

Istotnie, ta różnica jest uderzająca. Powody tego mogą być różne. Przede wszystkim Finlandia nie jest zapewne dla Rosji dzisiaj obiektem strategicznym, podczas gdy Polska jest nim w coraz to większej mierze. Drugi wzgląd to ten, że Finlandia może być rodzajem "pokazu" sowieckiej polityki i dyplomacji, pokazu mającego pozyskać zaufanie dla niej szczególnie w USA, gdzie sprawa fińska nie straciła całkowicie na popularności.

W każdym razie nie wydaje się, ażeby "*deadlock*" sowiecko-polski ruszył z miejsca. Pisma brytyjskie uważają, że nie zajdzie na tym odcinku żadna wyraźna zmiana i rząd polski jakby doszedł do kresu ustępstw. Prasa londyńska sugeruje, że w chwili gdy wojska Rosji przekroczą granicę wyznaczoną przez nią a więc t.zw. linię Curzona, dojdzie do powołania "rządu polskiego" — z łaski Moskwy. Wówczas przyjdzie niewątpliwie najbardziej krytyczny moment stosunków sowiecko-polskich; będzie to również najbardziej krytyczna chwila dla międzynarodowego stanowiska Polski. Rozpocznie się wtedy końcowa faza licytacji.

Londyn, dnia 12.III.1944.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

6 marca: W nocy z 5/6 polskie samoloty bombowe patrolowały nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi polskie powróciły.

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało, silnie Berlin za dnia.

—W Moskwie ogłoszono o zajęciu przez Czerwoną Armię m.in. następujących miejscowości: Wołoczyską, Zbaraż, Wiśniowiec, Łanowce i Nowe Sioło na terenie Polski.

7 marca: W nocy z 6/7 lotnictwo brytyjskie dokonało silnego nalotu na obiekty kolejowe w Trappes pod Paryżem.

—W Moskwie ogłoszono o zajęciu m. Podwołoczyska oraz jednego miasta powiatowego w województwie tarnopolskim.

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawy bombowe i wykonały atak na odległe cele ziemne. Wszyscy piloci polscy powrócili.

—Samoloty polskiego dywizjonu lekkiego bombardowania atakowały cele specjalne. Wszystkie załogi powróciły.

8 marca: Lotnictwo amerykańskie bombardowało b. silnie Berlin za dnia. Zrzucono 350.000 bomb zapalających i 10.000 bomb kruszących.

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawę bombową. Wszystkie załogi polskie wróciły.

—Rada Ministrów pod przewodnictwem St. Mikołajczyka uchwaliła dekret Prezydenta R.P. o ustanowieniu Krzyża Armii Polskiej we Francji.

—W Londynie otwarta została wystawa Lotnictwa Polskiego. Otwierając wystawę brytyjski minister lotnictwa Sir Archibald Sinclair powiedział: "Polacy przyłączyli się do nas, gdy brakowało nam pilotów. Zawierzyli nam, a my im. Nie mogliśmy znaleźć lojalniejszych i dzielniejszych towarzyszy w walce, która otwierała się przed nami we wspaniałej i decydującej bitwie o Wielką Brytanię."

9 marca: Lotnictwo amerykańskie bombardowało za dnia ciężko Berlin. Opór niemieckiego lotnictwa myśliwskiego był b. słaby. Z wyprawy tej nie powróciło tylko siedem bombowców.

—W nocy z 8/9 polskie samoloty bombowe patrolowały nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi polskie powróciły.

—W Moskwie ogłoszono o zajęciu Starokonstantynowa i o walkach ulicznych w Tarnopolu. W okręgu Nikołajewa zajęto Nowy Boh i Kazankę.

10 marca: W Moskwie ogłoszono, że walki na ulicach Tarnopola toczą się dalej. Ofensywa sowiecka na południowym odcinku frontu wschodniego rozwija się w dalszym ciągu. Zajęto szereg miejscowości.

—W Stanach Zjednoczonych ujawniono, że rząd Irlandii Południowej odrzucił żądanie St. Zjedn. z dnia 21.II. b.r. zniesienia placówek dyplomatycznych i konsularnych państw "osi" na terenie Irlandii Płd.

Nowości lotnicze

W dniu 22 lutym premier Churchill przemawiał w Izbie Gmin na temat ogólnej sytuacji wojennej. Sporą część tej mowy poświęcił lotnictwu. Wszystkich zainteresował szczególnie ten ustęp, w którym premier stwierdził, że w tej chwili daje pierwszeństwo wojnie powietrznej, przed wypadkami na Atlantyku, a szczególnie przed walką z okrętami podwodnymi. Walka z okrętami podwodnymi jest walką defensywną, lecz równie podstawową, jaką była bitwa defensywna o Wielką Brytanię.

Wynika z tego, że premier Churchill uważa bitwę o Atlantyk — za wygraną. Wobec tego zainteresowanie przesunąć się musi na bitwę ofensywną, jaką w tej chwili toczy lotnictwo nad kontynentem.

Premier Churchill stwierdził jeszcze: "Całość naszej ofensywy powietrznej jest podstawą, na której budujemy nasze plany inwazyjne." Te słowa dają dużo do myślenia. Premier nie wyjaśnił ich dostatecznie. Ofensywa na Niemcy, skierowana przeciw przemysłowi niemieckiemu, jest ofensywą strategiczną. Działania lotnicze, które byłyby związane bezpośrednio z inwazją, muszą mieć charakter taktyczny. Z tego można wyciągnąć bardzo ciekawe wnioski.

Premier Churchill nigdy przedtem nie mówił tak entuzjastycznie o wynikach bombardowania. Jest to zrozumiałe, są one z wielu względów ogromnie doniosłe. Ostatnio, bardzo szeroko zakrojona ofensywa lotnicza Aliantów została skierowana przeciwko ośrodkom produkcji lotniczej.

Amerykanie utrzymują, że to uderzenie, które zniszczyło w ciągu tygodnia, obok wielu mniejszych, 10 najważniejszych niemieckich fabryk lotniczych, choćby taką jak Gotha, jest ostatecznym ciosem w *Luftwaffe*. Nie chcemy przesądzać sprawy. Nie wiemy, czy to twierdzenie nie jest przepojone zbytnim optymizmem. Przypuszczamy jednak, że cios był silny i bolesny.

Ten cios może stać się przyczyną wstrzymania propagandowych wypadów lotnictwa niemieckiego na takie cele, jak n.p. Londyn.

W Ameryce jest wielu zwolenników teorii, że bombardowanie może przynieść zwycięstwo bez ostatecznej interwencji wojsk lądowych. Apostołem tej teorii jest Seversky. Czy tak rzeczywiście jest — okaże czas. Raczej wydaje nam się, że przy obecnym stanie rzeczy, wojska lądowe będą miały jeszcze sporo do powiedzenia.

Niszczenie ośrodków produkcji i niszczenie miast jako ośrodków komunikacji, choćby w działaniu moralnym chybiło, musi jednak dać swój materialny wynik, jakim jest obniżenie produkcji, wprowadzenie chaosu w organizację tyłów, wreszcie uniemożliwienie zaopatrywania armii walczącej.

Ofensywa Aliantów trwa dzień i noc. Były doby, kiedy nad Niemcami unosiło się przeszło 5000 maszyn. Przypomnijmy sobie słowa dowódcy *Bomber Command*: "Dajcie mi możliwość bombardowania Niemiec przez dwa tygodnie dziesięcioma tysiącami samolotów bez przerwy, a wojna będzie skończona."

Pięć tysięcy samolotów, to już jest coś. Gdyby nawet wysiłek Aliantów doszedł do gigantycznej cyfry dziesięciu tysięcy samolotów, działających w ciągu doby, to jednak wysiłek ten nie mógł by trwać codziennie. Na to nie pozwolą warunki atmosferyczne. Wskutek tego nieprzyjaciel zawsze będzie miał chwile wytchnienia.

Dlatego też samo lotnictwo nie wygra wojny. Dopiero walka na ziemi może zadecydować o zwycięstwie. Nie mniej każda tona bomb rzuconych na Niemcy, na ośrodki produkcyjne i centra komunikacyjne, oszczędzi wiele setek żyć ludzkich, przybliży chwilę wyzwolenia Europy.

Jest jeszcze jeden ustęp w mowie Churchilla, który zasługuje na omówienie: "Anglo-amerykańska akcja lotnicza przeciw Niemcom zmusiła Niemców do odciągnięcia z armii i od pracy w ośrodkach przemysłowych trzech milionów ludzi dla wzmocnienia obrony przeciwlotniczej, zmusiła ich też do ściągnięcia do Niemiec i na przyszły front zachodni 4/5 ich lotnictwa myśliwskiego."

Rzeczywiście tak jest. Amerykanie w ciągu najbardziej intensywnego tygodnia działań /pod koniec lutego/ zdołali zestrzelić 813 samolotów rozmaitego rodzaju, jednak głównie myśliwców. Do tego należy doliczyć samoloty zniszczone na skutek bombardowań lotnisk i fabryk na ziemi, których suma przekracza setkę, a prawdopodobnie jest większa, jest bowiem poddana ocenie ze zwykłą, właściwą Brytyjczykom ostrożnością.

Bezpośrednio po mowie Churchilla, wygłosił swe éxpose Sir Archibald Sinclair, głowa *Air Ministry*. Śladem premiera Sir Archibald potwierdził, że działania lotnictwa połączonego są w tej chwili u szczytu napięcia. "RAF w połączeniu z lotnictwem amerykańskim przygotowuje postępy Sprzymierzonych na drodze do Berlina" — rzekł dodając później zdanie, które może najtrafniej określa politykę lotniczą W. Brytanii: "Dobrze jest zdobyć dwieście dział na przeciwniku, lecz stanowczo lepszą jest rzeczą zniszczyć fabrykę, która w ciągu miesiąca może wyprodukować dalszych dwieście i niebawem uzupełnić ubytek."

Między innymi Sir Archibald podał w cyfrach straty RAF w ciągu ostatniego roku. Są wielkie, niewątpliwie. RAF stracił w tym okresie 2500 maszyn i prawie 18 tysięcy ludzi w załogach. W czasie ostatniej wojny, w ofensywie brytyjskiej nad rzeką Sommą 27.000 ludzi straciło życie w ciągu 12 godzin i to tylko po to, by zyskać 3 i pół mili terenu. Takie porównanie ukazuje doniosłość wojny powietrznej we właściwym świetle. Można zrobić wiele kosztem małych strat. Jednak przecie trzeba się liczyć z tym, że tak oszczędnie prowadzona wojna musi trwać długo . . .

Sprawozdawca "*Daily Mail*" z dnia 1 marca podając skrót mowy Sir Archibalda dodaje na zakończenie, że mottem Izby Gmin stało się: "Więcej bomb na Niemcy"!

Niemcy stworzyli specjalną grupę do bombardowania Londynu, t.zw. grupę lotniczą "I" pod dowództwem generała Peltza, który nagle stał się dość głośny. Ma to być podobno człowiek niezmiernie energiczny, młody, wychowany w Anglii i znający podobno Londyn, jak własną kieszeń, posiadający zatem potrzebne kwalifikacje do dowodzenia atakami na Londyn.

Tyle plotek. Faktem jest, że rzeczywiście Niemcy, wznowili swe ataki na Londyn stosunkowo większymi niż dotychczas siłami. Przewidywaliśmy już dawno, je *Luftwaffe* jest do takiego wysiłku zdolna, naturalnie używając do tej akcji sił mieszanych, bowiem dyspozytyw bombowców czystej krwi w północnej Francji nie jest, a przynajmniej nie był dotychczas zbyt wielki. Niewątpliwym jednak faktem jest narastanie tego dyspozytywu, bowiem w tej chwili *Luftwaffe* koncentruje we Francji większe siły przeciwinwazyjne.

Ocena siły niemieckich bombowców, jak ją podają źródła neutralne, na 2000 jest przecież przesadzona. Można przypuścić, że z czasem Niemcy dojdą do połowy tej siły, wycofując kolejno nadliczbowe jednostki z Włoch i frontu rosyjskiego. Dla kontynuowania wysiłku, Gen. Peltz na pewno nie będzie rzucał od razu całego dyspozytywu na Londyn, lecz przeprowadzi uderzenia grupami, choćby dla przetrenowania wszystkich załóg, wśród których sporo jest młodych lotników, albo dla oswojenia załóg z nowym sprzętem, bowiem wiele eskadr zostało ostatnio przezbrojonych.

W każdym razie należy liczyć się z poważnymi atakami i to w bardzo krótkim czasie, tym bardziej. że ataki te będą miały na celu nie tylko ściśle propagandowe efekty. Ataki te będą chciały obezwładnić, w mniemaniu *Luftwaffe*, ważne dla całości działań punkty strategiczne. Będzie to działanie przeciwinwazyjne. Ostatnie ataki zdradzały już podobne założenia.

Niedawno niemieckie radio transatlantyckie zapowiedziało budowę nowych sześciomotorowych samolotów, które mają być użyte do bombardowania Londynu. *Speaker* rozwodził się szczególnie nad dwoma typami: jednym, którego nazwał "olbrzymem" i drugim, który ma podobno podwójne podwozie. Pierwszym z nich będzie prawdopodobnie odmiana M 323, jednopłat górny o dość małej szybkości, nie przekraczającej 170 mil na godzinę, jednak o sporym, jak relacje podają, udźwigu. Drugim typem będzie prawdopodobnie owo dziwo latające, o którym pewien pilot z *Mosquita* opowiadał, że ujrzawszy go — nie wierzył własnym oczom. Dopiero otrząsnąwszy się ze zdumienia, zaatakował potwora i ku własnemu zdziwieniu — zestrzelił go bez większych trudności. Ten samolot stworzony został przez połączenie dwóch *Heinkli* 111 w jeden; mają one wspólne skrzydło między dwoma kadłubami. Do czterech motorów dodano piąty w środku, w teoretycznym miejscu połączenia skrzydeł. *Heinkle* 111 zawiodły w czasie *Battle of Britain* i zestrzeliwano je kopami. Zostały wycofane z pierwszej linii. Prawdopodobnie jakiś genialny Niemiec postanowił wykorzystać zapasy i rozwiązał swe zadanie oryginalnie, ale czy praktycznie — przyszłość pokaże.

Amerykanie podali dość dokładne cyfry swojej produkcji samolotowej od marca 1941. Cyfry te opublikowane są po raz pierwszy i są sensacyjne. Ogółem U.S.A. wyprodukowały 150 tysięcy samolotów, z czego zatrzymano dla armii i floty amerykańskiej 122 tysiące. Dostarczono Aliantom 28,000, z czego 21 tysięcy na zasadzie *Lend-Lease*. Około 7000 sprzedano za gotówkę. Przeważnie kupiła je W. Brytania.

Następne cyfry podane są w wartościach pieniężnych. A więc wyprodukowano motory o wartości 400 milionów dolarów i przeszło za 600 milionów części uzbrojenia i bomb.

M. J. GORDON

Polska — żywymi oczami

Kobieta w walce*

Wojna, twarda, bezwzględna, totalna, przestała być udziałem mężczyzn, którzy ją stworzyli; pierwszy to raz w tej mierze kobieta stała się żołnierzem. W mundurze służby pomocniczej, przy kierownicy motorów, przy obsłudze maszyn w wojennym przemyśle, kobieta musi dotrzymać kroku mężczyźnie. Walka konspiracyjna w kraju wciągnęła również kobietę do swych szeregów.

Nie stało się to od razu. Życie podziemi wymaga pewnych cech, które wedle przyjętych, często bardzo uproszczonych schematów, są rzadziej spotykane u kobiet, niż u mężczyzn. Okazało się jednak, że wszyscy prawie uczestnicy walki podziemnej musieli wyrabiać te cechy charakteru, kształcić i udoskonalać taktykę działania w niezwykłych warunkach. Każdy prawie zdawał egzamin, jeśli chodzi o odwagę, patriotyzm, dobrą wolę. Trudniej było o ludzi zimnych, opanowanych, ostrożnych, małomównych i niezachwianie dyskretnych. Kobiety musiały przełamywać nieraz lody nieufności, zdobywać zaufanie wytrwałością, przechodząc od robót najskromniejszych do zadań bardzo nieraz odpowiedzialnych. Praktyka pracy konspiracyjnej wykazała, że kobieta nie tylko może być bardzo pożyteczna, lecz w niektórych działach nawet niezastąpiona.

Taką bardzo szeroką domeną pracy kobiet jest łączność. Przy opłakanych warunkach komunikacyjnych w Polsce, sprawa kontaktów, przesłania rozkazów i instrukcji, kolportażu prasy, napotyka na ogromne trudności. Wewnętrzne granice odcinające "*Ostland,*" Ziemie Zachodnie, a w pierwszym czasie i Małopolskę Wschodnią, szkodziły jednolitej robocie na terenie całej Polski. W braku komunikacji samochodowej, autobusowej i przy ogromnych obostrzeniach w pociągach, przejazd 200 — 300 klm. jest nieraz przedsięwzięciem wymagającym odwagi, sprytu i ogromnej przedsiębiorczości.

Przy kolportażu prasy trzeba przewieźć często dużych rozmiarów walizę, trzeba z bagażem dotrzeć nieraz do dalekich zakątków wiejskich. Kurierce nie wolno zblednąć pod badawczym spojrzeniem SS-manna, nie wolno nieostrożnie zmrużyć powiek w czasie rewizji w przedziale. Zawsze jest nadzieja: może przejdą dalej, może tej walizki nie otworzą. Jedno nieprzemyślane słowo przy badaniu, jedno nieostrożne zdanie wobec współpasażerów może oznaczać śmierć. Koleje roją się od prowokatorów, władających po czterech latach zupełnie już poprawną polszczyzną, węszących ślady według trasy podróży, według spotkań na dworcach. Czekając na kontakt nie wolno spoglądać na zegarek, każda oznaka zniecierpliwienia może ściągnąć szpicla.

Służba łączności wymaga również dużego wysiłku fizycznego. Noc po nocy kurierki przebiegają niebezpieczne szlaki, zdążając do swych celów żlebami strumieni, zboczami najbardziej niedostępnych skał. Nieznużonymi stopami przemierzają ukryte ścieżki, ślizgając się po mokrych głazach, brnąc w błocie, grzęznąc w śniegu. W nocnej ciszy każde skrzypnięcie gałęzi pod stopą może spowodować pościg, zbudzony w uśpionej wsi pies grozi życiu. Plecak z pieniędzmi, bronią, bibułą cięży kamieniem na zbolałych plecach. Nogi odmrożone i poranione muszą donieść do wyznaczonego miejsca.

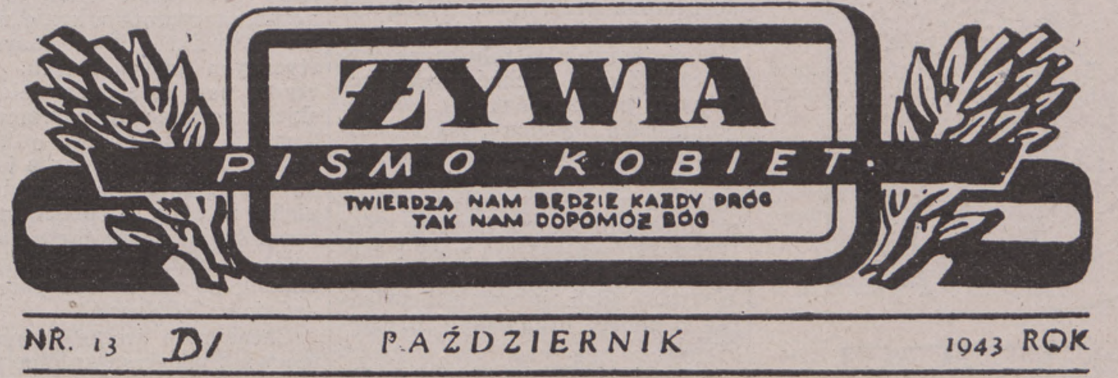
Te piesze wędrówki stają się koszmarem w czasie ciężkiej zimy, lub roztopów jesieni; w pięknym czasie, mimo zwiększonego niebezpieczeństwa, upajają urokiem przyjaznej przyrody. W leśnej kryjówce zając sięga do zwieszonego na sęku plecaka, próbując ściągnąć sterczącą z kieszeni kromkę chleba. Stadka jeleni zastępują drogę dziewczynie. Na polanie srebrnej od księżyca, przez którą strach przemknąć się w nocy białej jak dzień, spaceruje z powagą stare lisisko, zmiatając kitą rosę z traw. Las chroni, kryje, koi lęk, łagodzi zmęczenie. Ludzie zaciekli i wrodzy ścigają po śladzie, grożą każdym nieoczekiwanym szelestem, niosą śmierć w tropy kurierki. Jeszcze raz cel osiągnęła, i znowu następna droga.

Inną dziedziną pracy kobiet są "meliny." Ludziom strudzonym, narażonym na najgorsze, niepewnym, czy każda godzina ich pracy nie jest ostatnią, dać choć złudzenie domu, zapewnić chwilę odpoczynku, przygotować strawę — to zadanie "meliniarki." Ludzi bez nazwisk, bez adresów, bez dokumentów należy odprowadzić do umownych punktów, przyjąć z jednych wiadomych rąk, przekazać w drugie. Umieć milczeć aż do śmierci, natychmiast zapominać, o nic nie pytać, nic nie wiedzieć. I być z nimi samotnikami sercem w złej godzinie, dołączać swoją czujność do ich wysiłku, swoje drobne poświęcenie do ich wielkiej sprawy. Domy kobiet, ciche, skromne mieszkania, stają się w wielu wypadkach schronieniem, kasą, zbrojownią, drukarnią, laboratorium chemicznym. Domy otwarte na znane hasło, otwarte dla swoich aż do dnia, gdy drzwi się zamkną na zawsze pod pieczęciami Gestapo.

Sierpień 1942 był początkiem prasowej pracy kobiet na szerszą skalę. Zatrudnione od początku w kolportażu i robotach technicznych, kobiety pisywały oczywiście i przed tym do prasy wszystkich odcieni. Pierwszy numer "Żywii" — pisma kobiet Stronnictwa Ludowego — jest widomym objawem zorganizowanej roboty prasowej kobiet. Tak jak pierwsze kobiety w służbie podziemnej, tak "Żywia" musiała przełamać męską nieufność.

Zastanawiano się, czy warto dla kobiet zwiększać niebezpieczeństwo pracy, bo każde nowe pismo, obok ogromnego trudu, kosztów, jest zawsze sumą niebezpieczeństw — przy pisaniu, składaniu, korekcie, druku, kolportażu. Pismo jednak wychodzi dziś już ponad półtora roku, kobiety otoczyły je miłością, wystarały się o piękny papier, skromna początkowo winietka przyozdobiła się ozdobnym kształtem. Po paru numerach ukazał się dodatek, stanowiący *curiosum* w pracy podziemnej: "Biedronka — wiadomości do opowiadania naszym dzieciom" — jedyne w swoim rodzaju pismo konspiracyjne dla dzieci.

"Żywia" ukazuje się regularnie, jest dumą kobiet polskich. Miło mi było stwierdzić po wyjściu zagranicę, jak potrzebne jest to pismo nie tylko z punktu widzenia roboty krajowej. Niektóre artykuły tego pisma były czytane w polskich uchodźczych gromadach, budziły zapał wśród ludzi nieraz zobojętniałych. "List kobiet do generała Sikorskiego" był czytany ze zgrozą i łzami. Ten manifest kobiet obiegł świat, dotarł do wybitnych kół alianckich. Zrobił dobrą robotę.



Konspiracyjne pismo kobiece

Biedronka

WIADOMOSCI DO OPOWIADANIA NASZYM DZIECIOM

Dodatek do "Żywii" — konspiracyjne pismo dla dzieci

Ludzie podziemi są z konieczności anonimowi, są jednak wśród nich bohaterowie, otoczeni już dziś podziwem i uwielbieniem. Taką bezimienną dziś jeszcze bohaterką jest autorka "listu," redaktorka "Żywii," dusza kobiecej pracy konspiracyjnej w Kraju. Gdyby przypadkiem doszły te słowa do jej rąk, wzruszy pewnie ramionami i powie: "Pocóż nazywać bohaterstwem pracę zwyczajną i normalną." Uważając się za szarą pracowniczkę jest płomieniem walki, przykładem i motorem dla otoczenia. Przez tyle potwornie ciężkich lat nie osłabła w niej na chwilę pasja, nie ugięła się odwaga, nie zawahała nadzieja zwycięstwa. Jest pierwszą z tych, przed którą ostrzegają Niemcy swych żołnierzy, pisząc: "We wszystkich Marysiach — w polskich kobietach płonie ciągle, daleko żywiej, aniżeli w mężczyznach, nienawiść przeciwko wszystkiemu, co niemieckie. Nie zapomnij też nigdy: każda polska dziewczyna jest Marysią — a Marysia walczy o Polskę."

W tej pochwale z ust wroga jest jedna wielka prawda: kobieta w podziemnej walce to nie tylko kurierka, łączniczka, redaktorka. Dzień każdy jest walką z wrogiem, walką o postawę narodu, o duszę i wykształcenie dziecka. Musiały kobiety polskie skalać swoje życie nienawiścią do wroga, rozszerzyły jednak dusze nasze najgorętszą miłością do wszystkich Polaków. Chroniąc przed głodem dziecko własne i w miarę możności wszystkie polskie dzieci, umożliwiają wykształcenie dzieciom, zepchniętym przez Niemców w otchłań nieuctwa. Kobiety są naturalnymi opiekunkami dzieci — nie wolno im pozwolić marnieć fizycznie ani duchowo, trzeba stworzyć silną zaporę wobec celowej akcji demoralizacyjnej, którą Niemcy próbują unicestwić naszą młodzież.

Kobieta strzeże i chroni, ostrzega przed łapanką, rewizją, chowa w swych domach zagrożonych aresztowaniem. Kobieta prowadzi tę najtrudniejszą biologiczną walkę: by przetrwać i zapewnić innym przetrwanie. O wytrwałość kobiet, o pracę rąk kobiecych rozbija się akcja wysiedleń i eksterminacji. Kobiety ratowały od śmierci wałęsające się po lasach, ginące z głodu dzieci żydowskie. Kobiety wychodziły z łyżką strawy do pociągów wiozących wysiedlonych. Z mrówczą wytrwałością odbudowywały po raz dziesiąty zrujnowany dom, gromadziły koło odrobiny strawy swoje i cudze dzieci. Z matczyną czujnością ratowały dzieci Małopolski Wschodniej, dotknięte puchliną głodową w pierwszych miesiącach niemieckiej tam gospodarki. Chłopskie matki nie wahały się przyjmować po troje i czworo zabiedzonych maleństw, uszczuplając i tak minimalne już racje własnej rodzinie.

Ciągła myśl o więźniach i jeńcach, paczki z żywnością od ust odjętą, dostarczane nieraz z narażeniem życia, są widomym objawem miłości kobiet polskich do wszystkich zagrożonych i wydziedziczonych Polaków. Większość tych paczek wysyłanych do obozów jenieckich zawiera tylko przesuszony, aby nie spleśniał, czarny chleb kartkowy. Kraj dzieli się tym co ma, a nie najlepiej wiedzie się naszym jeńcom, skoro w każdym liście o chleb ten proszą.

Każde działanie przeciw wrogowi, czy to najskromniejsze w życiu codziennym, czy zorganizowane w konspiracyjnych szeregach, jest walką na śmierć i życie. Zginęło w tej nierównej walce tysiące kobiet — luki najdotkliwsze wypełniają się natychmiast przez nowe siły. Zmarzniętą na śmierć w śniegowych zaspach kurierkę zluzowała idąca po niej towarzyszka, wyjęła z martwych rąk pocztę i doniosła do celu. Nie wiem, jak Cię badali, jeśliś wróciła po trzech tygodniach siwiuteńka od "Helclów," młoda dwudziestoośmio-letnia Anno. Miałaś zresztą szczęście nie tak, jak Ty, Mario, rozstrzelana w tarnowskim więzieniu, jak nasza warszawska opiekunka zamordowana po stracie męża na Pawiaku.

Nic się nie dowiedzieli od kurierki zatłuczonej na śmierć w krakowskiej umywalni dworcowej, nic od kolporterki wziętej z walizą druków na dworcu w Warszawie. Nauczyły się kobiety nie tylko dla Polski pracować, ale i w milczeniu umierać.

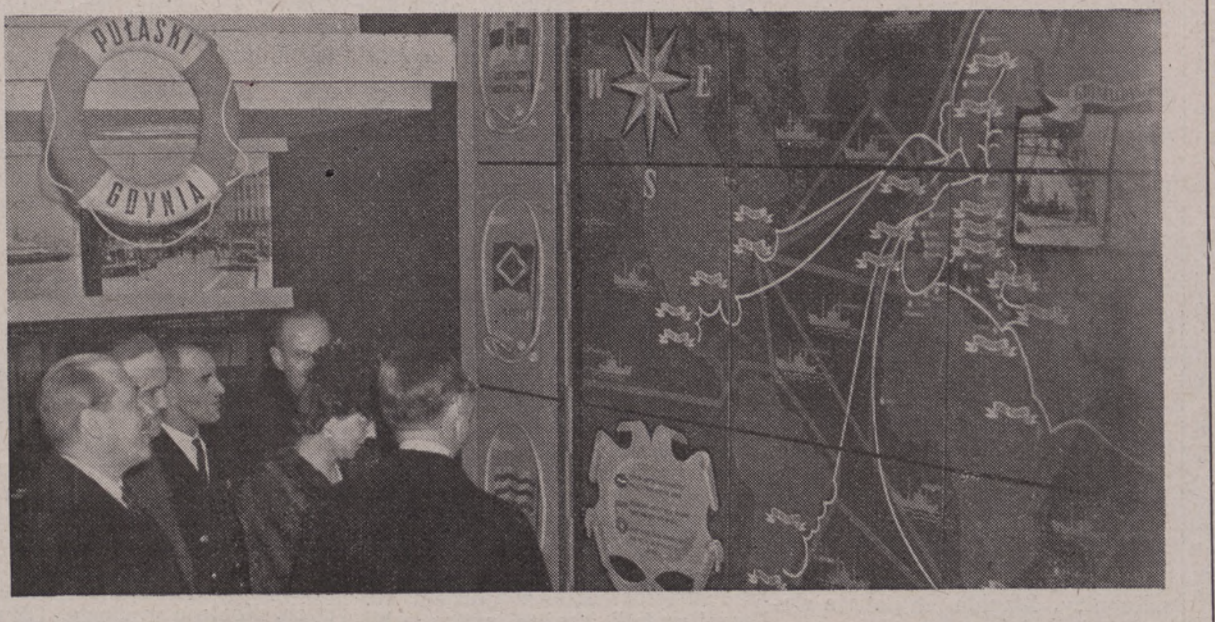
Praca podziemna kobiet — mogłaby się tak, jak i służba wojskowa kobiet w Wielkiej Brytanii nazywać "pomocniczą służbą kobiet." Przodownictwo w ruchu podziemnym należy do mężczyzn, ale pewnie by się po latach współpracy owej najwierniejszej pomocy nie wyrzekli.

MARIA BRZESKA

* Por. poprzednie artykuły cyklu: "Powszedni dzień terroru," druk. w nr. 6, "Życie ulicy," druk. w nr. 7, "Wobec wydarzeń wojennych," druk. w nr. 8, "Dziecko i matka," druk. w nr. 10 "Polski Walczącej," z b.r.

Dwie wystawy polskie w Londynie

Księżna Kentu zwiedza wystawę morską

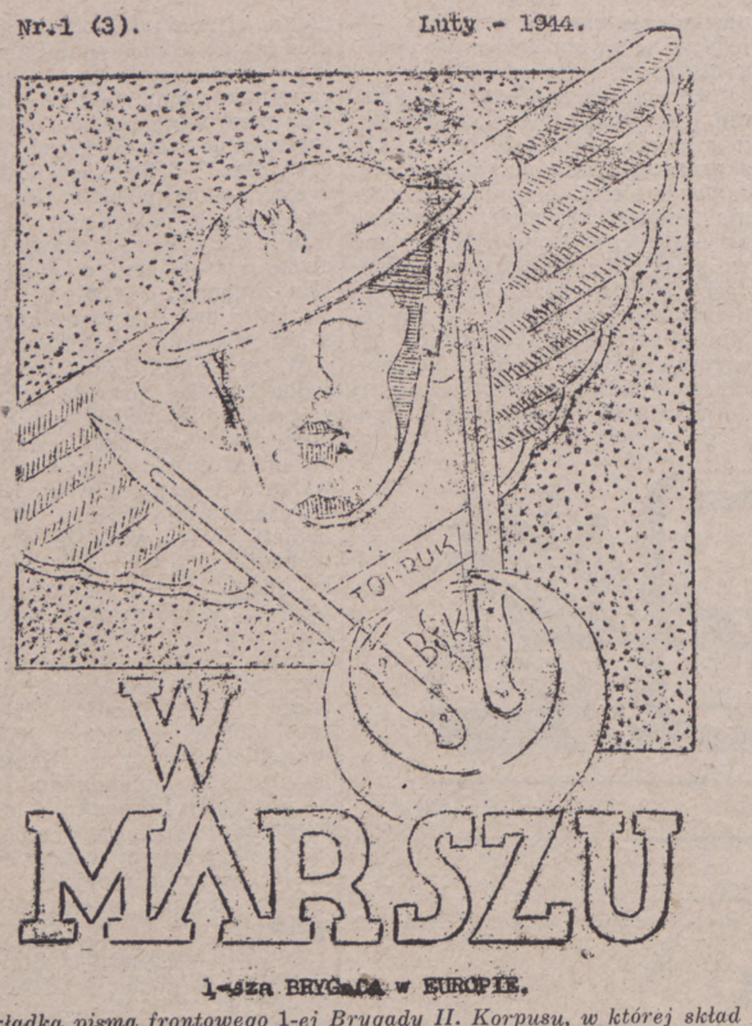


Fragment z objazdowej wystawy lotniczej



Polacy na ziemi włoskiej

(Korespondencje własne "Polski Walczącej")



Okładka pisma frontowego 1-ej Brygady II. Korpusu, w której skład wchodzą żołnierze dawnej Brygady Karpackiej. W tej chwili, obok tego pisma, wychodzącego co miesiąc, wydaje ona biuletyn codzienny p.n. "Goniec Karpacki"

Z europejskiego m.p.

Polski żołnierz stanął wreszcie na kontynencie europejskim, by zmierzyć się na polu walki z wrogiem, by pomścić doznane krzywdy.

Ze słowami hymnu narodowego "...Z ziemi włoskiej do Polski ..." na ustach idzie, wykuwając twardą drogę do Ojczyzny.

STARYM SZLAKIEM

Dziwne są zbiegi okoliczności. Tak się oto złożyło, że opuszczałem brzegi lądu północno-afrykańskiego — po trzech latach na nim pobytu — wyjeżdżając z tego samego obozu, z którego przeszło dwa lata temu, jako żołnierz Legii Oficerskiej udawałem się na kontrtorpedowcu brytyjskim "Heros" do Tobruku, gdzie walczyła Brygada Karpacka. Obóz stał w tym samym, co dawniej miejscu. Jakże jednak inny obraz przedstawiał. Była to istna wieża Babel: prócz Polaków krzątali się Nowozelandczycy, czarni Ghurkowie, Anglicy i Szkoci, Rodezyjczycy, wreszcie weseli i beztroscy Amerykanie.

Pewnego styczniowego dnia Komenda Obozu wydaje rozkaz spakowania manatek, bo w nocy mamy ruszyć do portu. Niełaskawe tego dnia były niebiosa. Spadł ulewny deszcz połączony z szaloną wichurą, co nie jeden namiot wywróciła. Przemoczeni do ostatniej nitki załadowaliśmy bagaże i po godzinie jazdy stanęliśmy w porcie, ładując się na statek z tego samego molo, z którego udawałem się na wyprawę tobrucką.

Wśród statków towarzyszących nam w konwoju do brzegów europejskich znajdował się dobrze nam znany M.S. "Batory." Żal mi było, że nie znajduję się na jego pokładzie, jak kiedyś, gdy również jako korespondent /tylko jeszcze nie wojenny/ odbywałem podróż "Batorym" w czasie jego inauguracyjnego rejsu dokoła Europy w 1936 roku. A trasa biegła wówczas częściowo tym samym, co i teraz szlakiem. Jakże się jednak zmienił nasz stary "kolos" oceaniczny. Nie poznałem go w pierwszej chwili.

Nie był to zresztą jedyny towarzyszący nam statek pod polską banderą. Wśród wojennych okrętów ochrony konwoju były dwa polskie kontrtorpedowce, pełniące już od dłuższego czasu ciężką i odpowiedzialną służbę na Morzu Śródziemnym.

Cała podróż odbyła się bez specjalnych emocji. Nie doznaliśmy przygód wojennych, jak wówczas w drodze do Tobruku, które może pamiętają czytelnicy "Polski Walczącej."

W EUROPIE

Gdy po kilkudniowej podróży zaczęły się zarysowywać kontury lądu europejskiego, kto żyw z Polaków wybiegł na pokład spacerowy naszego morskiego kolosa. U wszystkich widać było jakiś radosny błysk w oczach.

Ze wzruszeniem stawialiśmy tego samego jeszcze dnia stopy na molo w jednym z portów południowych Włoch, myśląc w duchu: Jesteśmy już nareszcie w Europie, po tylu latach tułaczki żołnierskiej. To widomy znak, że zbliżamy się do Polski ...

Powitały nas dzwony kościelne, wzywające ludność miejscową na nieszpory. To dobry znak — pomyślał sobie niejeden.

Na redzie dziesiątki przeróżnych statków. Nie mniejsza ich ilość zakotwiczona przy molo. Na horyzoncie ukazują się kontury okrętów wojennych patrolujących wybrzeże. Z dala słychać warkot potężnych bombowców. W samym porcie ruch ożywiony, jak za najlepszych czasów przedwojennych. Olbrzymie krany okrętowe wyładowują na ląd setki pak z przeróżnymi towarami i zaopatrzeniem. Natychmiast podjeżdżają wozy i cały ładunek odchodzi w głąb lądu. Wszystko idzie sprawnie i świadczy o dobrej organizacji Brytyjczyków.

Przekonaliśmy się zresztą o tym później na nowym m.p. Mimo bowiem trudności transportu morskiego, zaopatrzenie przychodzi na czas. Żołnierz jest odżywiany dobrze. Duża część przywiezionych towarów idzie na potrzeby ludności kraju, ogołoconego prawie ze wszystkiego przez wycofujące się wojska niemieckie.

ODKRYWANIE EUROPY

Niedługo kazano nam czekać na molo. Podjechały wozy ciężarowe, zabrały podręczne bagaże a brać żołnierska pomaszerowała do swych nowych kwater oddalonych od portu o parę kilometrów.

Obserwujemy po drodze ślady bombardowań. Szereg domów w mieście zniszczonych. Oko nasze po kilku latach pobytu na pustyni odwykło od dużej ilości zieleni. To też z przyjemnością oglądamy zazielenione pola, ciągnące się nieprzerwanie gaje oliwkowe.

Spotykamy po drodze długie kolumny wojsk różnych narodowości, śpieszące na nocleg. Miast powolnych wielbłądów mkną po szosie liczne, zaprzężone w konie, niewielkie powoziki o dwu charakterystycznych dużych kołach. Towarzyszą nam całe masy dzieci włoskich, prosząc o papierosy dla "papa," o czekoladę, o kawałek chleba. Z ich zachowania i wyglądu widać, że bieda porządnie zagląda w oczy. Uśmiech na twarzach świadczy, że darzą nas sympatią. Wiedzą już, że jesteśmy Polakami, bo raz po raz pada z ich ust słowo "*Polacco*."

Chcąc nam zrobić przyjemność śpiewają jakąś polską piosenkę zasłyszaną od naszych żołnierzy z poprzednich transportów. Przychodzi im jakoś dziwnie łatwo.

WYDAJEMY BIULETYN

Wieczorem dobrnęliśmy do baraków włoskich na zasłużony odpoczynek. Niedługo zagrzewamy tam miejsca. Po dwóch dniach cała nasza grupa propagandowo-prasowa instaluje się w jednym z pobliskich miasteczek. Mamy zaszczyt mieszkać w samym magistracie. Kamienne posadzki i potworny chłód daje się nam mocno we znaki. Następnego dnia nie masz ni jednego, co by nie kaszlał i nie kichał porządnie. Po paru latach pobytu w gorących i pustynnych krajach nie możemy się do tego "zimna jakoś przyzwyczaić ..." ale pocieszamy się, że to przecież Europa, że my z niej rodem i przekonują nas słowa lekarza, że skoro nadejdą ciepłe dni, wszystkie dolegliwości przejdą, jak ręką odjął.

Pokrzepieni na duchu przystępujemy natychmiast do pracy. Rozpoczynamy wydawanie codziennego biuletynu prasowego dla żołnierzy spragnionych wieści ze świata. Ma powodzenie olbrzymie. Czekamy jak na zbawienie na nasze samochody, co idą innym transportem, boć na nich cały nasz propagandowy dobytek: gestetnery, maszyny, papier, woskówki, atlasy, słowniki i inne pomoce redakcyjne.

To też gdy po dwóch tygodniach czekania, pewnego popołudnia zjawia się nasz kierowca, znany spryciarz, Edzio z Zamarstynowa — radość nieopisana zapanowuje wśród naszej braci. Edzio odbył podróż bez żadnych przygód, przywożąc cały ładunek nietknięty.

Zakasujemy rękawy, powiększamy nakład biuletynu. Czekamy teraz z niecierpliwością już tylko na drukarnię polową i resztę kolegów, by ruszyć całą parą. Czekamy też na sygnał wyruszenia naprzód — tam, gdzie już walczą nasze oddziały.

"BUONO POLACCO"

Dla ludności małego miasteczka południowych Włoch, gdzie mamy swą kwaterę niemałą atrakcją jest hejnał krakowski, grany co dnia z wieży ratuszowej. Znają już tę melodię dobrze włóczący się za nami tutejsi "*bambino*" i nucą ją głośno. A gdy zbliża się godzina 12-ta całe ich gromady biegną przed gmach magistracki, aby słuchać z zaciekawieniem płynących w dal dźwięków.

Gdy w pierwszą niedzielę po przyjeździe na nowe m.p. liczne rzesze naszej braci żołnierskiej przybyły do miejscowej katedry, by wysłuchać mszy świętej — byliśmy świadkami niecodziennego zdarzenia: do obecnego w katedrze gen. B. podeszła delegacja Komitetu parafialnego, składając na jego ręce życzenia pomyślności dla Polski.

Życzliwy stosunek Włochów do Polaków pogłębia się z dnia na dzień. Gdy pierwsze oddziały polskie zajmowały kwatery w miasteczkach i osiedlach tutejszych, zastawały je jakby wymarłe. Wszystkie sklepy zamknięte. Żywego ducha na ulicy. Dopiero na drugi, trzeci dzień po przybyciu, zaczęliśmy obserwować ludzi wychodzących z domów, z pewną jakby obawą patrzących na polskie mundury. Zaintrygował mnie ten dziwny, niechętny stosunek. Zapytałem pewnego dnia miejscowego księdza, dlaczego tutejsi mieszkańcy patrzą na nas z taką niechęcią. Ksiądz odpowiedział:

—"Niech się pan nie dziwi. Ustępujący stąd żołnierze niemieccy trąbili na prawo i lewo, że Polacy to barbarzyńcy, że rabują, grabią, zabijają. Ale już pierwsze zetknięcie się z Polakami — dodaje — zadało kłam tym zakusom propagandy nazistowskiej. Polubiliśmy was, obserwujemy waszą religijność, znamy cierpienia, poświęcenie i bohaterstwo Waszego narodu."

Dziś już rojno i gwarno na ulicach. Sklepy pootwierane. Ludność nabrała pełnego zaufania do naszych żołnierzy, a wyraz "*buono Polacco*" jest już na ustach każdego "*bambino*."

* * *

Piszę te pierwsze wrażenia z nowego europejskiego m.p. w dniu, w którym gen. Anders melduje gen. Alexandrowi, że wojsko polskie objęło odcinek bojowy na froncie włoskim gotowe do walki. Objęło i nie tylko, że trzymać go będzie mocno, ale da Bóg, w swym marszu do ojczystej ziemi dołoży niejedną cegiełkę pod budowę wielkiego gmachu, któremu na imię: ZWYCIĘSTWO.

Włochy w lutym 1944 r.

WACŁAW SIKORSKI

Trzy lata w obozie internowanych

Wojska alianckie, zajmując Kalabrię, uwolniły z obozu internowanych w Ferra Monti około 1000 *osób, m.in.* 300 *obywateli polskich.*

W jednym z portów południowych Włoch, minęło mnie w pewnej chwili dwóch ludzi. Jeden z nich właśnie mówił:

—Nie przyjmę tej pracy! Za 100 lirów dziennie z rodziną nie wyżyję.

Zatrzymałem się. Jakto? Cywilni Polacy we Włoszech? Zawróciłem i dogoniłem ich szybko.

—Przepraszam. Panowie z Polski?

Przystanęli.

—Tak, z Polski.

—Przepraszam za niedyskrecję, ale skąd panowie wzięli się tutaj?

—Z obozu internowanych. W Ferra Monti ...

Tak powstała nasza znajomość. W porcie szukali pracy. Ofiarowano im jednak zbyt niskie wynagrodzenie. Zdecydowali więc jechać do innego miasta. Za godzinę odchodził ich pociąg. Ale w ciągu tej godziny opowiedzieli mi swoją dosyć nieprawdopodobną historię:

... Spotkali się ze sobą w styczniu 40-go roku na posterunku policyjnym w jednej ze słowackich wiosek, niedaleko Bratysławy. Obaj różnymi drogami, jeden z nich w dodatku obarczony rodziną, przeszli granicę. Uciekali spod okupacji niemieckiej. G. z żoną i dziećmi pochodził z Krakowa, B. z Krynicy. Złapała ich policja słowacka i chciała wydać Niemcom. Komendant posterunku dał dyspozycję: karetka policyjna odwiezie ich do granicy. Jeden z policjantów, uzbrojony w rewolwer, siadł obok. Jechali przez las. Po pół godzinnej drodze samochód nieoczekiwanie stanął. Policjant kazał im wyjść z samochodu. Z drżeniem wykonali rozkaz. — "Pójdziecie tą ścieżką — powiedział policjant. Po 15-u minutach zobaczycie Bratysławę. Szczęśliwej drogi!"

W tydzień później płyną małym stateczkiem "Pentcho" po Dunaju. Kapitanem "Pentcho" jest "biały" Rosjanin. Pijak i morfinista. Bierze po 15 tys. koron od osoby. Zobowiązuje się wszystkich przewieźć na teren jednego z państw alianckich. Wszystkich — to znaczy 509 osób, w tym wielu obywateli polskich.

Ale, kiedy po kilku tygodniach dopływają do granicy rumuńskiej, okazuje się, że władze rumuńskie nie chcą ich przepuścić. Dopłynąć do brzegu nie można. Rząd bułgarski nie zgadza się, rząd węgierski nie pozwala. Mogą tylko pływać po rzece. Międzynarodowa konwencja przewiduje wolność żeglugi na Dunaju. Dunaj należy do wszystkich. Kupują żywność od rybaków, którzy na łódkach podjeżdżają do nich. Sześć miesięcy włóczą się po rzece, w nadziei, że rząd rumuński jednak ich przepuści. Włóczą się nie sami. Kilka jeszcze takich statków-widm pływa po Dunaju, czekając, aż je Rumunia przyjmie.

Wreszcie formalności zostają załatwione i statek dopływa do rumuńskiego portu nad Morzem Czarnym, Suline. Ale nagle Rumuni zaczynają grozić internowaniem. W noc na 11-go czerwca 40-go roku "Pentcho," zmyliwszy pogoń rumuńskiej policji morskiej wypływa na Morze Czarne.

W 12-ym dniu podróży pęka rura okrętowa. Wody nie sposób wypompować. Statek tonie. Na łodziach ratunkowych i tratwach dobijają do znajdującej się w pobliżu wysepki. Nazywa się dźwięcznie Camilla Nissi, ale oprócz kilku drzew, nie ma na niej niczego. Bezludna, pozbawiona nawet słodkiej wody, wyspa.

Rozbitkowie skazani zostają na powolną śmierć głodową. Rozpalają ognie. Może ich dostrzeże jakiś samolot? Ktoś znajduje w kieszeni pudełko czarnej pasty do butów. Układają na ziemi własne koszule i uratowane ze statku prześcieradła. Pastą piszą na nich wielkimi literami: "S.O.S."

Nazajutrz rzeczywiście pojawia się samolot. Machają doń rękoma, krzyczą rozpaczliwie, ale lotnik nie dostrzega rozbitków. Pod wieczór nadlatuje drugi samolot. Zniża się, kołuje nad wyspą, potem odlatuje. Pełni nadziei — czekają. W nocy zjawia się okręt i zabiera dzieci i kobiety. Po kilku godzinach budzący się dzień oświetla banderę. Rozłączeni z rodzinami, mając widmo głodowej śmierci przed oczyma, mężczyźni siadają na statek nieprzyjacielski, gdy wraca po nich po raz drugi. Łączą się ze swoimi rodzinami dopiero ... w obozie internowanych.

Mieści się on na wyspie Rhodos. Znajdują się tam i obywatele innych państw, walczących z osią. Siedemnaście długich miesięcy spędzają na wyspie, całkowicie odcięci od świata. Potem w dwóch rzutach: 12 lutego i 15 marca 42-go roku zostają przewiezieni do Włoch. Do obozu Ferra Monti w prowincji Cosenza w Kalabrii. Druty kolczaste otaczają obóz, strażnicy w dzień i w noc pilnie strzegą internowanych. Mieszkają w barakach. Otrzymują 150 gramów chleba dziennie; 80 dkg. makaronu, ½ litra oliwy — miesięcznie. Czasem, co kilka miesięcy — ½ klg. cukru. Ponadto dorośli dostają 8 lirów dziennie, dzieci /nawet 4-5 letnie, jeśli tylko mają w obozie rodziców/ — 3 liry. Włosi na ogół obchodzą się z nimi dobrze. Kilku, którzy próbowali uciec z obozu, schwytano. Pod sąd jednak nie poszli.

Pewnego dnia strażnicy włoscy opuszczają posterunki. Drogą, na północ pędzą niemieckie czołgi, samochody. Internowani boją się rozbestwionych Niemców — uciekają w góry. Ale rozumieją, że wybawienie już nadchodzi. Wojska sojusznicze zajmują Cosenzę. Dla spraw internowanych zostaje wyznaczony komisarz. Mogą opuścić obóz i szukać pracy.

Pierwsi korzystają z tego Jugosłowianie w liczbie 276. Mają jeszcze pieniądze, mogą jakoś, dorabiając, wyżyć. Ale reszta: 400 Czechów, 300 Polaków, 50 Chińczyków i 50 osób innych narodowości nie potrafi utrzymać się z niskich płac, przy wysokich cenach wojennych. Zostają w obozie. Otrzymują dziennie 304 gr. chleba i 10 lirów, a 2 kg. ryżu, 2 kg. makaronu i 1 litr oliwy — miesięcznie. Jeżeli zrzekają się prowiantu, mogą jadać z kuchni obozowej. Mają swój sklep. Jajko kosztuje tam tanio, taniej niż wszędzie we Włoszech — 12 lirów, ale czyż mogą sobie na to pozwolić?

Oczywiście starają się otrzymać pracę. Znajomy pracuje w Bari, jako elektrotechnik. Zarabia 100 lirów dziennie. Jakoś to wystarcza. Ale przeważnie pracy dostać nie można. Gdyby G. i B. nie mieli po pięćdziesiątce, poszliby do wojska. A tak przynajmniej chcieliby pracować. Od trzech lat niczego nie robili. Przydadzą się ich ręce Krajowi.

Ich i 300 innych obywateli polskich, którzy w obozie Ferra Monti czekają na powrót do Kraju.

/M.p.w. lutym./

LUDWIK BRZESKI

"...Co w Ostrej świecisz Bramie..."



Herb Wilna — rysunek Krystyny Kopczyńskiej-Sadowskiej



Sztandar lotników przesłany z Wilna do Anglii

"Jedno z najpiękniejszych miast w świecie... Rzędem biegną mury, pagórki otoczone zielenią pieszczą góry. Mury tęsknie na pagórki spoglądają. Miłe miasto. Gdy na któryś z pagórków się wyjdzie, ku niebu przez mgłę oparów błyszczą do góry wieżyce, wieżyczki, na których, gdy dzwony zadzwonią, niewiadomo, czy się skarżą, czy o łaskę proszą, czy tęskny tylko do nieba głos wznoszą."

* * *

W wieku XX-ym Wilno było już tylko jednym z najpiękniejszych miast w świecie. Kilkaset lat przedtem było także jednym z najwspanialszych i najbogatszych. Złoty wiek zygmuntowski był okresem najwspanialszego rozwoju Wilna. Druga, a nawet w pewnych momentach pierwsza stolica jednego z najpotężniejszych państw ówczesnej Europy — zjednoczonej Rzeczypospolitej — w podziw wprawiała licznych przybywających doń cudzoziemców. Wspaniałe gmachy, bogate pałace Radziwiłłów, Chodkiewiczów, Sapiehów, Kiszków, książąt Słuckich i Ostrogskich ambitnie rywalizowały z królewskim zamkiem Jagiellonów. Na zamku tym, chętniej niż w Krakowie, mieszkał ostatni z tego rodu, otoczony tłumnym dworem, urzędnikami koronnymi i litewskimi. Gdy w 1562 roku wydawał on swą królewską siostrę Katarzynę za mąż, zamek wileński i całe miasto w prawdziwy zachwyt wprawiły oblubieńca szwedzkiego księcia Jana Wazę.

Jagiellońskie Wilno, bogata, świetna stolica, posiadało godną siebie królewską relikwię. W katedrze wileńskiej cudami słynąć poczęły zwłoki świętego młodzieniaszka, przedwcześnie zgasłego Jagiellonowicza, który "widoki kilku bereł zamienił na lilię Wyznawcy." Uznany za świętego Kazimierz stał się patronem Wilna i całego Kraju; do świętej jego trumny przywarła odtąd kojąca wiara w majestat nadprzyrodzonego uroku i niezniszczalnej duchowej potęgi.

Święty królewicz patronem był królewskiego miasta, potężnej stolicy, dokąd w ciągu kilku wieków nie weszła stopa wroga. W XVI-ym jednak już wieku odezwały się pierwsze pomruki nadciągającej od wschodu nawałnicy moskiewskiej, a najazdy tatarskie sięgały Mińska i Lidy. Wilno stawało się zagrożone, mieszkańcy jego musieli myśleć o obronie i fortyfikacji miasta. Na wzniesionych w XVI wieku potężnych murach miejskich zawieszony został "na pospolitym dla pociechy wszystkich widoku" obraz Matki Boskiej o dziwnie uroczych i słodkich rysach. Nieznany artysta, który obraz ten stworzył, oczy skierowane mieć musiał "na sztukę renensansu włoskiego a duszę skąpaną w niecodziennej wizji urody życia, piękna i wiary."

Ozdobiona obrazem Matki Boskiej brama ostrego narożnego końca murów miejskich przeistaczać się zaczęła ze zwykłej bramy fortecznej w "bramę świętą Bogu miłą," mieszkanie *Matris Misericordiae*, "Bramy Ostrej Korony," "Strażniczki Wilna." Szczególną opiekę nad obrazem Madonny roztoczyli O. O. Karmelici, których "gdy Konwent Wileński z Boskiego zrządzenia tu przy Bramie Ostrej Roku P. 1626 zaczął bydź fundowany," "Oycowie nasi osobliwszą obserwę i weneracyę temu Świętemu Obrazowi czynić i swym przykładem lud wierny do Nabożeństwa i należytego uszanowania zachęcać i pobudzać poczęli" /z relacji X. Hilariona "od S. Grzegorza Karmelity Bossego Prowincyi Litewskiey Definitora"/.

Nie mając początkowo "żadney przystoyney kaplicy ani przyzwoitey cudownym Obrazom ozdoby," wizerunek Madonny "do muru był nieco wpuszczony z okiennicami, czyli drzwiczkami w niezupełny kwadrat zrobionemi od śnieżnych i drzystych nawalności Obraz zakrywającemi." Ponieważ do bramy publicznej miasta zawsze każdy wolny miał dostęp, o żadnej porze dnia i nocy przed Obrazem, coraz większą sławę wśród mieszkańców miasta uzyskującym nie brakło modlących się wiernych zwracających się do Matki Miłosierdzia o pomoc, wsparcie lub pociechę.

Dość wcześnie Obraz zaczął słynąć cudami. To też, gdy w 1655 roku Moskwa po raz pierwszy w historii wtargnęła do Wilna, największe jego skarby — relikwie św. Kazimierza i Obraz Matki Boskiej z Ostrej Bramy zawczasu ukryte były w bezpiecznym Królewcu i nie stały się łupem najeźdźcy. A łup ten, jak pisze kronikarz współczesny "w gotowych pieniądzach, w srebrze, w złocie, w drogich kamieniach i sprzętach" był nie do opisania. Sklepy i targi moskiewskie zawalone były srebrnymi naczyniami, srebrnymi zamkami i gwoździmi przy skrzyniach, srebrnymi okuciami karet, aż wartość pieniędzy spadła wskutek obfitości kruszcu w obrocie. Sam car zabrał z Wilna 7 kopuł z pałacu Radziwiłła pokrytych złotem wraz z kolumnami z czerwonego i różnobarwnego marmuru. Za cara przykładem szły jego większe i mniejsze służki, zabierając z miasta wszystko co się wywieźć dało.



Wotum lotników polskich zawieszone w Katedrze Westminsterskiej dnia 15 marca b.r. — rzeźba Józefa Hennelta

Gdy po sześciu latach moskiewskiej tyranii Wilno zostało wyzwolone, relikwie wróciły w triumfie do zrujnowanego miasta. W toku odbudowy pomyślano o przyzwoitszym schronieniu dla Cudownego Obrazu i w 1671 roku został on ulokowany w nowowzniesionej przy bramie bardzo "kształtnej lubo z drzewa" kaplicy, którą przybrano i przyozdobiono "doskonale" obrazami, pikturami, inskrypcjami. O sławie Obrazu i znaczeniu doń przywiązanym świadczył fakt, iż zaszczytu wprowadzenia go do nowozbudowanej, staraniem O. O. Karmelitów, kaplicy dostąpili najwyżsi dygnitarze państwowi: obok biskupa wileńskiego Sapiehy Wojewoda Michał Pac, wybawiciel Wilna z rąk moskiewskich, Krzysztof Pac, Kanclerz i Marszałek Hilary Połubiński. W tym samym 1671 roku Akademia Wileńska "dawno uznając mądrość" Marii, Matki Ostrobramskiej obiera ją sobie za opiekunkę i orędowniczkę pod nazwą "Boskiej Pallady."

W ciągu dalszych lat, wśród wojen, pożarów i innych klęsk żywiołowych Wilno nawiedzających, Obraz słynie coraz głośniejszymi cudami. Z "niewymownej Pociechy i Ozdoby Karmelu" staje się świętością najprzód samego Wilna, następnie zaś całego narodu. Madonna-Strażniczka Grodu, Matka-Miłosierdzia pobożnego ludu, Orędowniczka narodów Kraj zamieszkujących, zostaje przez władze kościoła katolickiego oficjalnie uznana za Obraz Święty i Cudami Słynący.

Inne wyznania krajowe, licząc się z nastrojami mas ludu, czczą go również i nawet — w okresie zaboru rosyjskiego — usiłują, wykorzystując świecką potęgę władzy zaborczej, sobie przywłaszczyć. Powstaje spór o zachodnie czy też bizantyńskie pochodzenie Obrazu, rozstrzygnięty ostatecznie na korzyść Zachodu. Przez cały czas Cudowny Obraz pozostaje pod opieką katolików, jest jednak czczony również przez prawosławnych, a także ewangelików i protestantów. Nawet wyznawcy religii niechrześcijańskich, ulegając ogólnym nastrojom, odnoszą się do Obrazu z dużym poszanowaniem i szacunkiem.

Dzięki Obrazowi uzyskało Wilno sanctuarium jedyne w świecie. Na wielkomiejskiej ulicy, pod odkrytym niebem mieści się olbrzymia świątynia zawsze wypełniona tłumem pobożnych, którym nie przeszkadza w modlitewnej ekstazie normalny ruch uliczny. Ruch ten zresztą na ulicy Ostrobramskiej w Wilnie nosi zupełnie specyficzny charakter. Każdy z przechodniów jakiegokolwiek bądź wyznania lub wiary, ulega mistycznemu nastrojowi ulicy. W XX-ym wieku nie mogli zeń się otrząsnąć nawet niemieccy i bolszewiccy okupanci. Nie odważyli się oni tknąć ogólno-miejskiej i narodowej świętości i zmuszeni byli zachować w stosunku doń minimum wymaganego przez masy wileńskie szacunku.

Wystawiona na widok publiczny na ulicy, Strażniczka Bramy, Pocieszycielka strapionych i Orędowniczka uciśnionych staje się Patronką i największą świętością miasta odartego z królewskiego majestatu, gnębionego i łupionego przez zaborców. Staje się własnością mas ludowych tęsknie wspominających dawne lepsze czasy. W licznych pieśniach ludowych masy zwracają się w naiwnych a tkliwych słowach do swej Orędowniczki z prośbą o ratunek, pociechę i dodanie sił do przetrzymania ciężkiego Dzisiaj i doczekania się podobnego do Wczoraj — Jutra.

"Obrona wielka miasta Giedymina,
Wilna całego pociechą jedyna,
W tey Ostrejbramie obrona potężna,
Królowa Polska, a Litewska Xiężna.
W stołecznym mieście stolico mądrości
Tu rezydujesz w darów obfitości..."

* * *

Na ścianach kaplicy Cudownego Obrazu piętrzą się masy różnorodnych wotów, przez które liczni wierni wyrazić chcieli swą wdzięczność Madonnie za otrzymane przez nią łaski. Wśród wotów tych w krótkim dwudziestoleciu wolności Wilna znalazł się rycerski krzyż Virtuti Militari. Ofiarodawca jego ciężkie przeżywać musiał chwile. Jakiejś wielkiej — za wstawiennictwem Madonny — doznać w życiu osobistym łaski. Stwierdzając, iż "miłość ofiary żąda," krzyż swój na polu śmierci i chwały zdobyty, do stóp Matki Miłosierdzia złożył. To hasło żołnierza polskiego podjęły wileńskie kobiety. Zachowując, pomimo wszystko, głęboką wiarę w ostateczny, dobry dla Polski i miasta "koniec," oddały Ojczyźnie to, co miały najdroższego. Błogosławieni przez swe matki, siostry i narzeczone, chłopcy wileńscy poszli po klęsce wrześniowej do dalekiej Francji i Anglii walczyć za "waszą wolność i naszą." Gdy przez liczne kordony dochodzić do Wilna zaczęła sława lotników polskich walczących w decydującej bitwie o Anglię, kobiety wileńskie wysłały im z podbitego i gnębionego Wilna sztandar bojowy, na którym, jakby krwią serdeczną, wypisały hasło wotum ostrobramskiego: "Miłość żąda ofiary."

Ofiary ze swego życia, młodości i zdrowia codziennie składają lotnicy polscy z miłości do wolności Ojczyzny i Wilna. Składają je też ze swego mienia, nie tylko tam w Kraju bezlitośnie łupionym przez zmieniających się najeźdźców, lecz także i tu w "tym kraju" ze swego skromnego żołnierskiego żołdu. "Miłość ofiary żąda," więc tę ofiarę-wotum składają lotnicy-Wilnianie u stóp Pocieszycielki strapionych i Orędowniczki uciśnionych z błagalną prośbą, by ich do wolnego Grodu i niepomniejszonej Ojczyzny jak najrychlej powróciła.

WIT MARKOTNY

Matka Boska Ostrobramska — litografia odbita u Lemercier w Paryżu około r. 1850



ALBO . . .

Albo spotkamy się jeszcze
Przed wileńską Katedrą,
Przed Katedrą — o piątej —
Jak za młodzieńczych lat

Albo tylko wspomnienia
Do mej celi się wedrą,
Będę w przeszłość spoglądał,
Jak złoczyńca — zza krat.

Albo złożymy wotum
Z naszych łez w Ostrej Bramie
I odszuka nas życie
Z zapomnianych już klisz —

Albo w ziemi dalekiej
Po mnie tylko zostanie
Niewydany tom wierszy,
Garść popiołu i krzyż . . .

RYSZARD KIERSNOWSKI

A P E W U

II.*

SPOTKANIE Z "TRANSPORTOWCEM"

Nie tak dawno spotkałem w Kairze pana K., przepraszam dziś już pana kapitana K. Kto go nie znał? Ten chyba tylko, który nigdy nie podróżował naszymi samolotami komunikacyjnymi. Otóż przed wojną pan K. latał sobie spokojnie na trasie Warszawa — Sofia — Ateny — Tel-Aviv. Woził ludzi, pocztę i swą godną osobę. Pijał piwko u Żywca na Marszałkowskiej, zagryzał paprykarzem albo dobrze doszłym serkiem. Liczył ile jeszcze zostało do przelecenia drugiego miliona kilometrów i martwił się, że mu coraz okrąglejszy brzuszek zasłania różowe horoskopy na przyszłość. I byłby zapewne pan K. wylatał sobie jeszcze niejeden milionik w służbie ojczystej, gdyby nie Hitler. Uwziął się na szczęście osobiste pana K. Wobec takiego obrotu rzeczy pan K. zabrał swego grata z hangaru na Okęciu i wyewakuował się starym szlakiem do Bukaresztu.

Los zdarzył, że razem płynęliśmy do Anglii. Tam nasze drogi chwilowo się rozstały. Latałem na jednej ze stacyj angielskich, gdzieś w Szkocji, wożąc rudawo-piegowatych uczni-nawigatorów. Poza lotami nic się na stacji nie działo, podobnie jak u nas w Pikutkowie.

Pewnego dnia sensacja. Mgła do ziemi, loty wstrzymane, a tu w powietrzu coś warczy i warczy. Podano mu przez radio, by poszedł do czorta i szukał szczęścia gdzie indziej, bo *runway'e* toną w mleku i nie ma mowy o lądowaniu. Ale chłop się uparł i wreszcie wylądował. Zwabiony takim nadzwyczajnym wypadkiem polazłem na start. Jakież było moje zdumienie, gdy z pękatego "Lockheada" gramolił się równie pękaty pan K.

—Co ty tu robisz Włodziu?

Pan K. przycisnął mnie do swego wyniosłego biustu i orzekł, że musi poczekać aż się wyjaśni. Odprowadzał maszyny Anglikom z baz na różne lotniska. Teraz leciał do północnej Irlandii. Mgła nie ustępowała przez dwa dni, więc i my nie odstępowaliśmy od bufetu, nawet pomimo godzin zamknięcia.

Znów go straciłem na jakiś czas. Słyszałem od kolegów, że ganiał nierozważnie po kole podbiegunowym, przeprowadzając amerykańskie maszyny z Kanady poprzez Nową Funlandię, Grenlandię, Islandię do Anglii. Co ten stary wariat wyrabia, dumałem, gdy doszła mnie wiadomość, że siadł przymusowo na pustyni śnieżnej i dopiero turystycznie usposobieni Eskimosi wyratowali go od śmierci lodowej.

Ale pan K. nie zapomina przyjaciół. Byłem już na innym lotnisku na południu Anglii, gdy znów mnie odwiedził po którymś tam z kolei przelocie z Ameryki. Zacny chłop, przywiózł paczkę papierosów amerykańskich, parę jedwabnych pończoch na wzmocnienie uczuć płci odmiennej i gumę do żucia.

—Poco gumę? — zapytałem.

—A, to jest doskonały środek na uspokojenie nerwów, specjalnie, w rozczarowaniach miłosnych — wyjaśnił.

Znów coś ponad normę zapłaciliśmy podatków rządowi angielskiemu, licząc skromnie, iż tylko po 16 szylingów ściąga z jednej butelki *whisky*. Rozstaliśmy się z Włodziem z sercami wezbranymi uczuciem i na chwiejnych nogach.

Wyjechałem na *Middle East*, a tu masz, znowu pan K. Stereotypowe: — Co ty tu robisz Włodziu? — zamarło mi na ustach, gdy zobaczyłem, że brzuch pana K. wybitnie się zmniejszył. To coś niedobrze — pomyślałem.

—Ano nic, odprowadzam teraz maszyny z Ameryki do Indyj.

—Jak to? Tak od razu z koła podbiegunowego na równik?

Zrozumiałem teraz smukłość figury pana K. On też się z tego tytułu nie martwi. Pan K. lata z Ameryki do Indyj, czy jest w tym coś dziwnego? On sam też nie uważa, siedząc w swym "Liberatorze," aby to było coś nadzwyczajnego. I tak jest istotnie.

OD DELEGATURY DO GROPPIEGO I DALEJ W EGIPSKIE KONTRASTY

W Delegaturze A.P.W. nastrój, że tak powiem, więcej urzędorządcy. Jest oficer placu, są niejakie trudności. Nic dziwnego, bo ludek polski zjeżdża tu na urlopy, czy też z innych mniej lub więcej jasnych przyczyn. Tam gdzie są Polacy muszą być i polskie urlopy, na to nie ma żadnej rady i "Kapral Szczapa," który leży ciężko chory w szpitalu w Jerozolimie, na pewno przyzna mi rację, o ile go dojdą te słowa.

Pytam o gen. Andersa, aby mu zameldować nasze przybycie. Przylatuje za parę dni. Znałem z widzenia gen. Andersa w Polsce. Nigdy nie było mi dane współpracować z nim bezpośrednio. Teraz, kiedy zbliża się taka możliwość, ciekaw jestem poznać bliżej mego nowego przełożonego. Ze słów oficerów i żołnierzy o nim przebija sympatia i zaufanie. Lubią go i szanują, a to dużo w tak nierównym pod względem opinii towarzystwie, jakie tworzy nasza emigracja.

Załatwiłem sprawę, opuszczam więc urzędowe podwoje, dumając gdzie by skierować utrudzony krok. Gdzież by, jak nie do "Groppi'ego." Jest duży i mały, coś jak duża i mała Ziemiańska. Ten duży to jest właściwie tylko na słodko z taką kondensacją słodyczy, jaką tylko Wschód potrafi wytworzyć. Ten mały jest też na słodko, ale i na ostro z szerokim wyborem kontyngensu angielskiego, australijskiego, francuskiego i amerykańskiego. W decyzji nie ma wahania. Stare przyzwyczajenia kierują mnie do "małego" Groppiego.

Orientacja jest dość łatwa, niekoniecznie trzeba znać język egipski. Mówią ci tak: pójdziesz prosto tą główną ulicą, dojdziesz do takiego okrągłego placu, gdzie na postumencie stoi pan z marmuru z fezem na głowie i pokazuje palcem. Pójdź za tym wskaźnikiem i znajdziesz się od razu u "wielkiego" Groppiego. Jeśli chcesz trafić do "małego," to znów jest drugi plac i drugi pan w fezie, który wskazuje, ale w odwrotnym kierunku. Czy by tego nie należało opatentować? Przecież po Kairze swobodnie poruszają się nasi żołnierze, z których znakomita większość nie mówi żadnym innym językiem poza rodzinnym.

Może za dużo miejsca poświęcam wynurzeniom na temat zakładów cukierniczych rodziny Groppi'ch. Są to dwie wzięte cukiernie, wobec czego całą Polonię można tam spotkać. Francuski panuje niepodzielnie. Panowie w czerwonych fezach i panie o twarzach przypominających palety malarskie, posługują się tylko tym językiem. Arabski, lub, jak kto woli, egipski, jest językiem służby i biedoty. Bogactwo wystaw i strojów, szeregi luksusowych aut i przepełnione lokale rozrywkowe dowodzą, że Egipt dobrze zarabia na wojnie.

Może to przesada powiedzieć Egipt, raczej jego górne sfery. Wystarczy przejść się po dzielnicach arabskich, wyjechać poza Kairo do okolicznych wsi, a uderzy w oczy z miejsca kontrast luksusu dzielnic europejskich stolicy z nędzą *fellahów*. Szałas, lepianka z gliny, lub porwany namiot pustynny, to normalny widok wsi egipskiej. I dalej, jak przed wiekami, oślepły wół czy osioł drepcze wokoło drewnianego prymitywnego kołowrotu, do którego przyczepione wiadra gliniane przelewają wodę na pola wyżej położone. W wielu miejscach jeszcze biedniejsi robią to ręcznie.

Na wszystkich szlakach wodnych delty Nilu żegluga oparta jest na barkach żaglowych. Ale gdy kierunek wiatru nie sprzyja kierunkowi podróży, załoga barki przerzuca sznury przez piersi i zastępuje siłę pociągową. Obok po asfaltowych szosach przewalają się tysiące środków zmotoryzowanych. Czy ci ludzie zastępujący zwierzęta pociągowe nic nie wiedzą o możliwości zastąpienia siły człowieka przez silnik? Co się zmieniło od czasów Faraonów? Zdaje się, że nic. Czynniki postępu technicznego bodajże służą tutaj tylko dla celów luksusu kilku odgórnych tysięcy właścicieli Egiptu.

Dziwiłem się czemu niewiasty spowite w czarne szmaty i dzieci w brudnych perkalach, nie mówiąc już o mężczyznach, nie mają nigdy uśmiechu na twarzy. Kraj bez uśmiechu, pomimo wiecznie pogodnego nieba, zieleni pól delty i życiodajnego słońca. Kraj ludzi ponurych z wyjątkiem tych z europejskich dzielnic Kairo i Aleksandrii. Kraj nie tylko ludzi, ale i zwierząt ponurych, bo wykorzystywanych ponad wszelkie pojęcie o ochronie zwierzęcia.

U DOWÓCY A.P.W.

Zawiadamiają mnie, że gen. Anders przyleciał do Kairo. Idę zameldować nasze przybycie. Spotykam go w *hall'u* hotelowym. Wysmukły mężczyzna o ostrych rysach twarzy, stonowanych łagodnym i miękkim wyrazem oczu. Twarz ma wyraz skupiony. Ruchy i słowa opanowane dają sylwetkę poprawnego gentelmena.

—Czekałem na was, cieszę się z waszego przyjazdu. U mnie, w kwaterze Głównej Korpusu omówimy sobie wszystko szczegółowo.

Wypytuje się jeszcze o sprzęt i ludzi, o nasze przygotowanie bojowe. Parę komplementów i rozstajemy się. Pierwsze wrażenie, jakie odniosłem w zetknięciu się z nim jest korzystne.

Nie pozostaje mi nic innego, jak zapakować manatki i przenieść się do Kwatery Głównej Korpusu w Palestynie. Trzeba by tu wyjaśnić, iż t.zw. Armia Polska na Wschodzie składa się z dwóch członów. Pierwszy człon — bojowy, to drugi Korpus Polski. W skład jego wchodzą wielkie jednostki i wszystkie rodzaje broni, nowocześnie wyszkolone i wyekwipowane, o olbrzymiej sile bojowej. Jednostki te rozporządzają wielką ilością środków zmotoryzowanych. Pod względem gotowości bojowej Korpus jest zapięty na ostatni guzik. Mamy w nim wszystko, jeśli chodzi o nowoczesne uzbrojenie: czołg i samochód pancerny, działo zwykłe i ciężkie, przeciwlotnicze i przeciwczołgowe, miotacze, miny i środki do ich rozbrajania. Trudno tu nawet wyliczyć to wszystko, co stanowi jego bogate i nowoczesne wyposażenie.

Armia natomiast, to są jednostki tyłowe, szkolne i uzupełniające. Od junaków i "Pestek" poprzez szkoły podchorążych, kursy specjalne aż do uzupełniających jednostek bojowych włącznie. Wygląda to, jak siły zbrojne małego państwa. Siłę bojową tego państwa tworzy Korpus nowoczesny, w którego skład wchodzą wszystkie rodzaje broni i służb. Korpus idzie na front. W kraju pozostaje t.zw. armia, to znaczy wszystko, co jest potrzebne do uzupełnienia korpusu, który może ponosić straty.

I armia i korpus są tak zorganizowane, aby w każdej chwili móc rozróść się do daleko większych rozmiarów. Polityka mądra i przewidująca. Ten kadrowy system okaże się zbawienny z chwilą, gdy warunki pozwolą na normalne uzupełnienie armii żołnierzem z Kraju, z obozów jeńców i innych źródeł.

SZLAK: EGIPT — PALESTYNA

Pożegnałem gościnne Kairo i ulokowawszy się z betami w wygodnym pudle samochodu sztabowego pojechałem na nowe miejsce mojego przydziału. Przed osiedleniem się w Sztabie Korpusu muszę się zameldować u mego przełożonego z R.A.F., który rezyduje w Jerozolimie. Zapycham więc 50 mil. na godzinę z Kairo poprzez pustynię wschodnią do Palestyny. Z Kairo do Ismailii droga wiedzie wzdłuż kanału łączącego Nil z kanałem Suezkim. Jest ona przyjemna, bo urozmaicona zielonością i osiedlami ludzkimi. Od Ismailii, poza kanałem Suezkim roztacza się bezludna pustynia piaszczysta.

Podziwiam angielską organizację drogową. Doskonałe szlaki asfaltowe przecinają pustynne obszary ze wschodu na zachód, z północy na południe. W pewnych odstępach stacje benzynowe, warsztaty reperacyjne i nieodzowne kantyny, gdzie można zjeść i wypić. Na tych bezludnych obszarach widać od czasu do czasu drużyny robocze naprawiające najdrobniejsze nawet uszkodzenia dróg. Drogi te łączą zatokę Perską z Morzem Śródziemnym i Atlantykiem. Ocean Indyjski z morzem Kaspijskim i Czerwonym. Szlaki morskie i drogowe Imperium Brytyjskiego to jego siła, to zdolność przerzucania wojsk i sprzętu wszędzie tam, gdzie zajdzie tego potrzeba. Nie zapominajmy, że jedna skromna dywizja, to tysiące samochodów i olbrzymie ilości sprzętu wojennego.

Gdyby Anglia nie posiadała szlaków morskich, łączących ją z poszczególnymi częściami Imperium i szlaków drogowych wewnątrz tych części, to utrzymanie takiego olbrzyma było by bardzo wątpliwe. Tysiące pojazdów mechanicznych przesuwa się z łatwością poprzez tysiące mil. I to niezależnie od tego, czy te tereny są zamieszkałe czy nie, niezależnie od takiej czy innej długości i szerokości geograficznej, niezależnie od różnic klimatycznych i różnic, jakie dzielą rasy i szczepy zamieszkujące te obszary.

Dzięki też doskonałej sieci dróg, Anglia silnie siedzi na Środkowym Wschodzie. To też jest powodem, że niezbyt wielkich sił trzeba, aby go utrzymać w ryzach dyscypliny. Sieć dróg lądowych i morskich uzupełniają szlaki powietrzne. A one nie znają dziś żadnego ograniczenia. Skok z Indyj do Egiptu, stamtąd do Algieru i dalej do Ameryki czy Anglii, to nie dziedzina wyczynów, lecz zwykła służba transportu powietrznego.

W JEROZOLIMIE

Pod wieczór docieram do Jerozolimy. Udaję się do Konsulatu, albowiem z Kairo dzwoniłem z prośbą o zarezerwowanie mi miejsca w hotelu. Jerozolima, jak zresztą i inne miasta w Palestynie, jest przeładowana i trudno o nocleg. Przyjmuje mnie woźny. Nic o żadnym rezerwowaniu nie wie. Pan konsul nikogo teraz nie przyjmuje, bo "godziny urzędowe skończone."

Strzepnąłem pył z obuwia przed pałacem padyszacha konsularnego i poszedłem. Przecież nie mam przywidzeń. Sam z Kairo telefonowałem do Konsulatu. Pan, który odebrał telefon obiecał, że to załatwi. Tylko, który to pan? To zresztą obojętne, wobec faktu, że pan konsul nie przyjmuje, bo to już po godzinach służbowych. Poszedłem do mojej Mateczki w Domu Polskim. Znamy się sprzed kilku lat. Ale i tam pomimo życzliwości nieograniczonej godzinami służbowymi, nic nie wskórałem, bo wszystkie pokoje przepełnione.

Na drugi dzień dopełniłem formalności u władz angielskich, a mając trochę czasu powłóczyłem się po mieście. Miasto pod znakiem Polaków, wszędzie się słyszy mowę polską. Jerozolima nowoczesna nic mi nie mówi, nie ciekawi mnie. Zapewne, jest ładnie położona. Dzielnica willowa, czy handlowa śródmieścia są szablonowe, takie same, jak w każdym mieście europejskim. Ta Jerozolima za murem, z świątynią pańską, kaplicą krzyżowców, drogą krzyżową, murem płaczu, i starym meczetem, ma swój pełny wyraz, pomimo niechlujnego otoczenia arabskiego. Ona pociąga, ale za leniwy jestem, aby odświeżać wspomnienia. Niech pozostaną takie, jakie utrwaliły się kiedyś na mej emulsji mózgowej.

Wybieram się do kawiarni w śródmieściu. Ma ogród otoczony murami kamienic, trochę rachitycznych drzewek i ma cień, a to ważne, kiedy słońce praży bezlitośnie. Ogródek posiada swoją historię. Kiedy Żydzi budowali nowoczesną Jerozolimę był to plac targowy. Ot taki sobie miejski plac na jarzyny, owoce i nabiał. W pewnych godzinach był on tłumnie odwiedzany. Otóż jednego dnia, w czasie największego ruchu handlowego, ktoś wprowadził w środek tłumu osiołka objuczonego dwoma bańkami benzynowymi. Właściciel osiołka znikł, a osiołek, jak to osiołek, stał sobie spokojnie nie budząc u nikogo większego zainteresowania. Minuty upływały, a osiołek czekał spokojnie aż wskazówki mechanizmu zegarowego, umieszczonego w bańkach napełnionych dynamitem, dojdą do oznaczonego czasu. Reszty już się wszyscy domyślamy. Osiołek wyleciał w powietrze, a z nim wiele, wiele niewinnych ludzi. Była to zemsta Arabów.

Dziś nie ma walk pomiędzy Arabami a Żydami. Istnieje oficjalny stan zawieszenia broni, który się jednak niedługo skończy. Przyszłość na tym firmamencie obecnie bez chmur, nie przedstawia się tak wesoło. Zapewne, że takie czy inne utarczki żydowsko — arabskie nie zachwieją Imperium Brytyjskim, natomiast spędzają już teraz sen z powiek kolonistom żydowskim. Groźba starcia jest również przyczyną organizowania się Żydów pod względem wojskowym.

ADAM WOJTYGA

* Por nr. 9 "Polski Walczącej" z b.r.

J. E. ks. Biskup Polowy Józef Gawlina odprawi nabożeństwo żałobne za spokój duszy
PIERWSZEGO MARSZAŁKA POLSKI
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
dnia 20 marca 1944 r. o godzinie 9 rano w Brompton Oratory /Brompton Road, S.W.7/

Poszukiwani

WYKAZ Nr. 36
CIĄG DALSZY

Osoby te jak również znajomi, posiadający bliższe dane a zwłaszcza adresy zainteresowanych, proszeni są o przesłanie ich do Wydziału Rodzin Wojskowych Ministerstwa Obrony Narodowej /Polish Military Families Office/, 5, West Halkin Street, Londyn, S.W.1.

47. **Jargol** Franciszek st. sierż. — poszukiwany przez żonę Teofilę, zam. w Z.S.R.R. /3800/105/.
48. **Jędrych** Edward por., był w Kozielsku — poszukiwany przez żonę Jadwigę, zam. w Z.S.R.R. /R/19/.
49. **Jeleniewicz** Jerzy kpt. — poszukiwany przez żonę Jadwigę i syna Bogusława, zam. w Z.S.R.R. /R/14/.
50. **Kański** Zdzisław, ur. 1924 r. w Radomiu — poszukiwany przez ojca Edwarda starszego sierżanta, Box 260/96 /6554/43/.
51. **Kosmowicz** Konstanty — Tadeusz, syn Konstantego oraz Irena córka Konstantego — poszukiwani przez Mariana Nozdrym-Płotnickiego P/44 /6400/43/.
52. **Krasnowski** Aleksander, syn Leona, rocznik 1923 — poszukiwany przez Eugenie Krasnowską — Polish Refugee Camp, Valivade Kalpahur /385/44/.
53. **Kaczanowski** Bolesław szer. — poszukiwany przez żonę Wierę, zam. w Z.S.R.R. /R/28/.
54. **Kamiński** /bez imienia/ szer. — poszukiwany przez ojca Michała, siostrę Marie i siostrzenicę Józefę, zam. w Z.S.R.R. /3800/102/.
55. **Karp** Aleksander ppor. — poszukiwany przez żonę Helenę i dzieci: Marię, Józefa i Krystynę, zam. w Z.S.R.R. /3800/107/.
56. **Karpiński** Karol oficer, był w Kozielsku — poszukiwany przez żonę Nadzieję, córkę Irenę i matkę Teodozję, zam. w Z.S.R.R. /R/14/.
57. **Kazarnowicz** Jan szer. — poszukiwany przez żonę Emilię i dzieci: Stanisława, Zygmunta i Genowefę, zam w Z.S.R.R. /R/28/.
58. **Klimowicz** Aleksander — poszukiwany przez żonę Irenę i siostrzenicę Banach Irenę, zam. w Z.S.R.R. /R/41/.
59. **Konierzeniecki** Aleksander kapral — poszukiwany przez żonę Wiktorię, córkę Barbarę i matkę Konstancję, zam. w Z.S.R.R. /R/15/.
60. **Kosobudzki** Bohdan szer. — poszukiwany przez ojca Bronisława, matkę Annę i rodzeństwo: Henryka, Annę, Antoniego, Irenę, zam. w Z.S.R.R. /R/55/.
61. **Kostecki** Stefan por., był w Kozielsku — poszukiwany przez żonę Jadwigę i synów, zam. w Z.S.R.R. /3800/102/.
62. **Kostrubiec** Wiktor wachm. — poszukiwany przez żonę Aleksandrę i córki: Wandę i Urszulę, zam. w Z.S.R.R. /R/15/.
63. **Kotryn** Bolesław ppor. — poszukiwany przez żonę Helenę i dzieci: Janusza i Jerzego, zam. w Z.S.R.R. /3800/106/.
64. **Kozłowski** Teodor ppor. — poszukiwany przez ojca Kozłów Michała i matkę Jadwigę, zam. w Z.S.R.R. /3800/106/.
65. **Kozłowski** Wiktor plut. — poszukiwany przez matkę Marię i siostrę Halinę, zam. w Z.S.R.R. /3800/84/.
66. **Krajewski** Zygmunt ppor. — poszukiwany przez matkę Zofię, zam. w Z.S.R.R. /R/15/.
67. **Krot** Stefan plutonowy podchor. — poszukiwany przez ojca Teodora, zam. w Z.S.R.R. /3800/84/.
68. **Krumholz** Nachum ppor. — poszukiwany przez żonę Ewelinę i syna Stefana, zam. w Z.S.R.R. /3800/91/.
69. **Krupa** Karol st. strzelec — poszukiwany przez żonę Marię i córkę Adelę, zam. w Z.S.R.R. /3800/88/.
70. **Krupkowski** Zdzisław por., był w niewoli sowieckiej — poszukiwany przez żonę Janinę i dzieci: Halinę, Wiesława i Reginę, zam. w Z.S.R.R. /3800/106/.
71. **Kuc** Ambroży szer. — poszukiwany przez żonę i dwoje dzieci, zam. w Z.S.R.R. /R/56/.
72. **Kuczyński** Józef por., był w Kozielsku — poszukiwany przez matkę Antoninę, zam. w Z.S.R.R. /R/15/.
73. **Kuczyński** Jan szer., był w Ostaszkowie — poszukiwany przez żonę Jadwigę i dzieci: Zbigniewa i Alicję, zam w Z.S.R.R. /R/28/.
74. **Kulczyk** Jan szer. — poszukiwany przez żonę Walerię i dzieci: Janinę i Józefa, zam. w Z.S.R.R. /3800/88/.
75. **Laskowski** Aleksander st. szer. — poszukiwany przez matkę Stanisławę i siostrę Weronikę, zam. w Z.S.R.R. /R/18/.

WYKAZ Nr. 37

1. **Andruszkiewicz** Stanisław ppor. — poszukiwany przez matkę Walerię, ojca Michała i Stepanową Rozalię, zamieszkałych w Z.S.R.R. /3800/82/.
2. **Artajew** Mikołaj — poszukiwany przez matkę Antoninę, żonę Eugenię i syna Włodzimierza, zamieszkałych w Z.S R.R. /R/19/.
3. **Baranowski** Aleksander szer. — poszukiwany przez żonę Helenę, dzieci: Marię, Jadwigę, Władysława i Janinę, zam. w Z.S.R.R. /R/27/.
4. **Barszczewski** Tadeusz kpt. — poszukiwany przez żonę Stafanię, zam. w Z.S.R.R. /3800/101/.
5. **Bernatowicz** Leon sierż. — poszukiwany przez żonę Marię i dzieci: Alicję i Teresę, zam. w Z.S.R.R. /3800/100/.
6. **Bełkowski** Stanisław ur. 1907 r. Kutno, krawiec — poszukiwany przez żonę Michalinę Polish Settlement, Tengeru, Arusha, Tanganyka /6428/43/.

Książki o wojsku i wojnie

Wspomnienia byłego jeńca

Niedawno przybyłem do Wielkiej Brytanii, nie wiem więc, ilu może się tu znajdować byłych jeńców z Niemiec. W każdym razie dość spora ilość. Ze *Stalagu*, w którym byłem, mam tu już kilku kolegów i dwóch nieznanych mi żołnierzy. A byliśmy w obozie o wiele kilometrów od granicy polskiej. Iluż więc musiało przyjść jeńców z obozów bliższych Francji?

Nie spotkałem dotychczas jeńca z kampanii wrześniowej, któryby napisał obszerniej o przeżyciach z niewoli. Wiele składa się na to przyczyn. Nikt w *Stalagach*, ze względu na warunki, nie pisywał pamiętników. Technicznie było to zbyt trudne, nie można było uchować rękopisu przed rewizjami, wreszcie żyliśmy w bezustannej czujności i napięciu nerwowym, co nie sprzyjało pisaniu. Może też wreszcie dlatego, że były to nieraz przeżycia, których wolało by się nie notować. I tak samo może woli się dziś o nich już nie myśleć. Szczęściem, pamiętamy już tylko te jaśniejsze chwile.

Inna rzecz w *Oflagach* — z kontaktów z sąsiadującym o miedzę obozem oficerskim wiem, że są tam tony papieru wypełniane w wolnych chwilach, czyli wciąż. Tylko że z *Oflagów* w Niemczech nie chodzi się na spacery do . . . Anglii.

Na koniec, gdyby wielu z nas, którzy mogą, chcieli o tym pisać i pisali prawdę, nikt by nie uwierzył. Ten groźny nieraz taniec na linie, gdy równowagę utrzymywał nasz spryt przeciw niemieckiej głupocie, łajdactwu i przekupstwu — miał by niewątpliwie posmak przechwałek. Przyjdzie zresztą czas i na to.

Trafiłem jednak na książkę o niewoli. Książka p. Mariana Piotrowskiego: "*Adventures of a Polish prisoner*," to wspomnienie z tej lepszej, "francuskiej" strony. Autor dostał się do niewoli jako żołnierz Armii Polskiej we Francji. Widział i pisze o wojnie jako widz, żołnierz i jeniec. To jest podział książki, ale też zarazem osobista postawa autora.

Pamiętając, że książka napisana jest dla Anglików po angielsku, rozumiemy ścieniowanie zbyt ostrych dla czytelnika kontrastów, przejaśnienie atmosfery życia obozowego. Zresztą wszystkie spostrzeżenia i fakty podane są z możliwym wyłączeniem pierwiastka uczuciowego. Forma ich jest bardzo dobrą formą dziennikarską, nie artystyczno-literacką. Piszę: "dziennikarską," zastrzegając się przeciw ujemnemu znaczeniu tego terminu. Wysoką klasę dziennikarstwa mamy tam, gdzie życie widziane jest dobrze otwartymi oczyma, wszystkie jego istotne przejawy i ich wzajemne związki przedstawione są rzeczowo i jasno. Niezależnie z jakiego punktu widzenia patrzy się na życie i czy się w nim bierze bezpośredni udział. Moim zdaniem autor osiągnął tutaj ten cel w zupełności.

Książka dzieli się na dwie zupełnie odmienne części, z których drugą jedynie przeżywałem w sposób podobny jak p. Piotrowski.

Wybuch wojny, cały mechanizm polityczny, leżący poza obrębem działań wojskowych, to jasny i prosty wykład dobrego znawcy stosunków francuskich. We wrześniu 1939 roku autor był korespondentem prasy polskiej w Paryżu. Sprawozdanie z rozwoju wypadków wywiera wrażenie czegoś bardzo bezstronnego, przedstawienie sytuacji ogólnej jest jasne. Jest to jakby próba historycznego ujęcia, podparta naszkicowaniem wrażeń ulicy paryskiej.

Dalej przechodzimy w zupełnie odmienny ton. Zaciągnąwszy się do wojska, autor staje się jedynie żołnierzem i świadomie porusza jedynie sprawy obchodzące żołnierza. Zjawia się tu już pewien ton goryczy.

Szczęśliwy byłem, że gorycz ta nie jest skierowana bezpośrednio przeciw naszym władzom wojskowym. Rok 1939/40 w Coëtquidan znam z opowiadań nadzwyczaj przykrych pod wielu względami. Ale to Anglikom, którzy mają czytać tę książkę, nie jest potrzebne. Ciemne strony życia żołnierskiego — to kwatery, jedzenie. A tego przecież dostarczały władze francuskie. Stąd zaczyna się nieustanny konflikt każdego z nas jeńców, którzy woleliby może nie mówić źle o Francuzach. A autor tego wyraźnie nie chce.

Najlepsze może karty tej książki to wspomnienie z frontu. Autor dał tu doskonałe literacko strony. Nie ma patosu, wywoływania wrażeń, żadnych sztuczek. Po prostu tylko dobrze pisze, co robił on sam i jego żołnierze. Można z równym spokojem stwierdzić, że dobrze robili. A to jest zdaje się bardzo dużo dla nas — a mam nadzieję, że i dla czytelników angielskich.

Wydaje mi się, że książka jest dobra i może Anglików wielu rzeczy o nas nauczyć. Choćby i tego, jak mi melancholijnie powiedział jeden Anglik, że jesteśmy "beznadziejni patrioci." Bo to przebija z każdej karty książki i to jest podstawą i postawą jeńca polskiego w niewoli.

Byłem w zupełnie innym *Stalagu*, niż p. Piotrowski — na drugim końcu Niemiec. Ale ogólny obraz był zabawnie jednakowy. Inna sceneria, inni ludzie, inny kraj. Obie dzielnice nie znoszą się wzajemnie, nie rozumieją swego narzecza. Ale widać Hitler ma rację — istnieje widocznie "rasa" germańska, kupa człekokształtnych z jednakową maszynerią wewnętrzną.

Moralność w Niemczech nie istnieje. Zwykła etyka staje się martwą literą. Widzieliśmy to wszyscy, jak i p. Piotrowski. U kobiet na przykład nie jest to skutkiem rozluźnienia obyczajów, ale wypływem jakichś przyczyn zasadniczych. U cywilnych czy wojskowych jedno tylko uczciwe działanie widziałem. Uczciwie się biją w tej wojnie. Poza tym wszyscy od góry do dołu kradną, biorą łapówki, łżą i w ogóle starają się wykazać, że etyka jest przesądem i że należy pielęgować stare godne tradycje koczowniczo-złodziejskich Germanów z okresu neolitu.

W Niemczech hańbą jest dać się złapać na kradzieży. Dlatego żołnierz nie ukradnie koledze rzeczy osobistych. Ale za to magazyny, dostawy, wszelkie publiczne dobra ruchome są to pola zbiorowej działalności. Wstyd spada tylko na takiego, co przebiera miarę i musi iść do paki. Nie mówmy już o okradaniu jeńca i cudzoziemca — to jest zawodowe, państwowotwórcze, sportowe i indywidualne.

Trudno mi naprawdę pisać recenzję. Dodawać do wspomnień autora moje własne wspomnienia nie ma celu, bo to nie na temat. Ująć nic nie można, skrytykować nie ma co, boć to wszystko żywcem tak było. A wytknąć braków obrazu też nie można, bowiem ilu by ludzi nie pisało, ile setek tomów by nie powstało, zawsze można by jeszcze coś dodać.

Muszę jeszcze przeprosić autora za użyte wyrażenie, że zna niewolę z "tej lepszej, francuskiej strony." Ale to zrozumiałe — najgorszy okres niewoli dla większości z nas — to był właśnie ten pierwszy rok. Może dlatego również, poza względami materialnymi, że nasz żołnierz przyszedł do niewoli jako "*halb wildes Volk*," znienawidzony i pogardzany. A Polacy z Francji korzystali z pozytywnego stosunku do jeńców francuskich, za jakich byli uznani. A Francja była dobra, bo zrobiła "*armistice*," kolaborowała i dawała jeść. I był francuski Czerwony Krzyż, który od razu zaczął tak działać i pomagać, jak nasz w dwa lata później dopiero. I nie słyszałem, by "uwolniono" jeńca Polaka z Armii Polskiej we Francji, po to by go rozstrzelać za bramą za pełnienie służby w Polsce przed 1939 r.

JAN KURZAWA

Reportaż o "Garlandzie"

Bohdan Pawłowicz — znany dobrze czytelnikom "Polski Walczącej," napisał swego czasu reportaż ze słynnego "konwoju murmańskiego," w którym brał udział na pokładzie O.R.P. "Garland." Był on w nieco innej formie drukowany po raz pierwszy na tych łamach. Po długim oczekiwaniu reportaż ten, przetłomaczony na język angielski, ukazał się w druku. Ale ciągle jeszcze czekamy na dawno napisaną drugą morską pracę Pawłowicza, jak czekamy na drugie wydanie dzieł Sopoćki, jak czekamy na książkę Wrońskiego — laureata nagrody "Wiadomości Polskich."

O "O.R.P. Garland" Pawłowicza zdania są podzielone. Marynarze zarzucają mu zbytnią egocentryczność i swoiste ujęcie ich życia. Nie należy jednak zapominać, że między rzeczywistością a publicystyką istnieje zawsze pewna "*licentia poetica*," pewna swoboda indywidualnego ujęcia, bez której reportaże stałyby się . . . wyciągiem z dziennika okrętowego. Poza tym Pawłowicz, patrząc oczyma publicysty, może nawet poety, widzi pewne wydarzenia pod kątem własnej indywidualności. I w żadnym wypadku nie można mu tego brać za złe.

Zresztą wcale nie jest wykluczone, że książka straciła wiele po przetłomaczeniu na język angielski, tak odrębny duchem od naszego. Pawłowicz czuł, myślał i pisał po polsku, z dużą dozą werwy i uczucia. Po angielsku — *traduttori-tradittori* — wyszło to inaczej. Tym nie mniej opowiadanie jest żywe, interesujące, miejscami szczerze dramatyczne i niewątpliwie zainteresuje anglosaskiego czytelnika. Więcej takich książek jak "O.R.P. Garland," jak "Dywizjon 303," a z pewnością posłużą one lepiej sprawie polskiej od broszur politycznych, choćby nie wiem jak mądrych, ale które przeciętny Anglik czasem niechętnie bierze do ręki, jak ognia lękając się "propagandy."

Ilustracje książki są również świetnie dobrane i szkoda tylko, że cenzura porobiła w nich cięcia . . . konieczne w r. 1942, ale dziś już zupełnie niepotrzebne. Natomiast pewne usterki w terminologii angielskiej nie dadzą się wybaczyć. Tłomacz winien wiedzieć, że bandera to po angielsku nie "*flag*," ale "*ensign*" — i błąd ten niewątpliwie razić będzie każdego anglosaskiego czytelnika. "*Flag*" — to flaga dowódcy lub flaga sygnałowa . . . Co by to było, gdyby ktoś napisał "flaga" na oznaczenie sztandaru pułku ułanów.

Pawłowicz za udział w konwoju murmańskim otrzymał Krzyż Walecznych. Życzymy mu z całego serca, aby jego wysiłki i trudy, w ogniu nieprzyjacielskim poczęte, przyniosły plon upragniony: rozgłosiły szeroko po świecie sławę polskiego kontrtorpedowca, co w drodze z Anglii do Rosji odparł 23 ataki z powietrza i 8 spod wody, znacząc krwią polską zimne fale Morza Arktycznego.

JULIAN GINSBERT

Rozmaitości wojskowe

ANEGDOTA O CHURCHILLU

W ciekawej książce znanego korespondenta wojennego J. L. Hodsona p.t. "*Home Front*" /Victor Gollancz, Ltd., 1944/ znalazłem następującą anegdotę o Churchillu: "Słyszałem, że podobno gdy Winston wygłaszał swą słynną mowę "*We will fight them on the beaches, etc.*" — najwspanialszą tyradę oporu, jaka kiedykolwiek została wygłoszona — oparł się potem o pulpit w Izbie Gmin i mruknął pod nosem: "I będziemy ich walili po głowach butelkami, bo nie mamy żadnej innej broni." W tym tygodniu ta historia została wydrukowana i gwarantuje się jej autentyczność. Któregoś dnia, za parę lat, ktoś nakręci film z życia Winstona. Trzeba będzie wówczas naprawdę genialnego aktora, aby uchwycić Winstona prawdziwszego, niż życie."

Nasuwają mi się dwie uwagi. 1/ Anegdota, którą w innych krajach okrzyczano by może jako "odbronzowanie" i "świętości nie szargać," brzmi w Anglii najzupełniej niewinnie i naturalnie. 2/ Jakże daleko jesteśmy dzisiaj od czasów, gdy Anglia, bezbronna i nieprzygotowana stawiła czoło zdobywcom Europy. Ta przemiana dokonała się w niecałe cztery lata. Któż to powiedział, że Niemcy są największym narodem wojennym świata?

Czytelnikom "Polski Walczącej" gorąco polecam książkę Hodsona. Jest to pamiętnik pisany od kwietnia 1942 do marca 1943. Autor, który w poprzednich tomach swych pamiętników zdał sprawozdanie z operacji wojennych — m.i. także w Libii — obecny tom poświęcił frontowi wewnętrznemu. Wysiłek wojenny Wielkiej Brytanii — tak wielki naprzekór wszystkim "besserwisserom" — odmalowany jest ciekawie i przekonywająco.

GAZETA FRONTOWA

Najprawdziwszą funkcją pisma wojskowego jest obsługa żołnierzy walczących. I dlatego słusznie należy się pomiędzy wszystkimi pismami żołnierskimi palma pierwszeństwa gazecie codziennej Ósmej Armii "*The Eighth Army News*." Pismo to wychodzi obecnie już ponad dwa i pół roku i przez ten czas ukazywało się codziennie. W ofensywie i w odwrocie, podczas walk i podczas przerw w działaniach wojennych. Redakcja mieściła się w samochodzie ciężarowym lub pod namiotem. Czasami — jak n.p. po zdobyciu Trypolisu — wydawano pismo w najnowocześniejszej drukarni, ale często drukowano je na ręcznych prasach w niezbyt komfortowych warunkach. Redaktor pisma — kapitan Warwick Charlton — bywał często swym własnym kolporterem. Przeważnie zwoje gazet zabierali sami żołnierze i rozdawali je swym towarzyszom. Zrzucano je z samolotów, rozwożono czołgami. Ale zdarzyło się nieraz, że młody redaktor z paczką gazet pod pachą przedzierał się do ludzi okopanych w pierwszej linii.

Pismo, które z Libii doszło aż do Tunisu a potem na Sycylię jest obecnie we Włoszech i cieszy się dużą popularnością wśród żołnierzy.

SHANGRI-LA

Książka angielskiego powieściopisarza Jamesa Hiltona zrobiła dziwną karierę. Tytuł książki był: "*The Lost Horizon*," a nieznana kraina, którą autor opisywał nazywała się Shangri-La. Książka miała średnie powodzenie, ale między jej czytelnikami był prezydent Roosevelt.

W międzyczasie wybuchła wojna i samoloty amerykańskie bombardowały Tokio. Zaciekawieni dziennikarze wypytywali prezydenta na konferencji prasowej z jakiej bazy wyruszyły bombowce na Japonię. — "Z wyspy Shangri-La" odpowiedział z uśmiechem prezydent.

Dopiero w jakiś czas potem, gdy nie było to już więcej tajemnicą wojskową, ogłoszono, że samoloty wystartowały z lotniskowca "Hornet." Jednak "Hornet" został zatopiony przez wroga. Na jego miejsce wybudowano nowy lotniskowiec a uroczystość spuszczenia go na wodę odbyła się parę dni temu. Nazwano go "Shangri-La." Gubernator Virginii, który przemówił na uroczystości spuszczenia "Shangri-La" na wodę powiedział: — "Wierzę, że przyjdzie godzina, w której grzmoty bitwy powietrznej zabrzmią nad Tokio. Mam nadzieję, że będziemy mogli wówczas powiedzieć, że samoloty które zadały śmiertelny cios wystartowały z "Shangri-La."

KSIĄŻKI O WOJSKU

Ostatnio ogłoszono cały szereg publikacji w języku angielskim o Polskich Siłach Zbrojnych. Pod względem pomysłowości graficznej wysuwają się na czoło broszury Peter Jordana.

"*First to fight*" /by Peter Jordan, Preface by Capt. L. G. Gammans, M.P., London, 1943, A. R. Foster/ daje historię polskiego czynu zbrojnego. Doskonałe slogany — podtytuły ilustrowane pomysłowymi mapami, bardzo rzeczowo i przejrzyście przedstawiają wkład Polski do obecnej wojny; tłumaczą wagę naszej decyzji z września 1939, bitwę wrześniową, odysseję Polaków zdążających do armii polskiej we Francji, a potem do Anglii; przypominają nasz współudział w *Battle of Britain*. Jest to broszura bardzo pożyteczna i godna rozpowszechnienia.

"*Polish Bomber Squadron*" /wydane wspólnie z Aleksandrem Jantą/ to historia polskiego lotnictwa bombowego. Jak na tak fotogeniczny temat jakim jest samolot, fotografie są słabe i zbyt banalne, niemniej i ta broszura ma swoją wartość propagandową.

Trzecia broszura "*Britain and Poland*" /Peter Jordan, Max Love Publ. Comp. Ltd.,/ nie dotyczy bezpośrednio wojska. Jest to porównanie w obrazach Polski i Anglii, technicznie trochę na wzór przeciwstawień fotograficznych "Lilliputa." Książka bardzo pomysłowa i pełna szczerego sentymentu. Parę fotografii porównuje polską armię, lotnictwo i marynarkę z armią, lotnictwem i marynarką brytyjską. Jest to bardzo udane wydawnictwo, które trafi na pewno szeroko między Anglików.

Podobne do stylu Jordana jest anonimowe wydawnictwo "*Polish Paratroops*." Podkreślić należy fotografie, które chlubnie odbijają od normalnych, sztywnych "obrazków" jakimi częstowała nas dotychczas owa polska propaganda fotograficzna. Fotografie z "*Polish Paratroops*" są pełne życia ruchu i treści.

Przechodząc do lotnictwa warto zanotować "*Polish Wings over Britain*" by L. G. Marsh /Max Love Publ. Co. Ltd.,/ jest to przystępnie i z felietonowym zacięciem napisana historia lotnictwa polskiego w obecnej wojnie. Książka ilustrowana jest 8 banalnymi fotografiami.

Analogiczny temat omawia książka "*Polish Wings over Europe*," na którą składają się krótkie artykuły i opowiadania rozmaitych autorów. Wydawcy powinni byli zaznaczyć w tytule zbiorowy charakter wydawnictwa.

Wreszcie zwracamy uwagę na 3 numery *Polish Fortnightly Review* poświęcone Polskim Siłom Zbrojnym a mianowicie:

Nr. 79. z dnia 1-ego listopada p.t. "*The Polish Air Force*."

Nr. 84. z dnia 15-ego stycznia p.t. "*The Polish Underground Army*."

Nr. 85. z dnia 1-ego lutego p.t. "*Poland on the Seas*."

2 NOWE "VICTORIA CROSS"

Za piękny wyczyn bojowy zostali odznaczeni najwyższym orderem brytyjskim, Victoria Cross, por. Donald Cameron i por. B. C. G. Place. W miniaturowych okrętach podwodnych, specjalnie na tę wyprawę zbudowanych, zaatakowali we fiordzie norweskim pancernik niemiecki "Tirpitz" i uszkodzili go tak ciężko, że do dziś dnia nie można go było przetransportować do doków niemieckich.

Akcja była wykonana z precyzją i — chciało by się niemal powiedzieć — niemiecką pedanterią. Załogi obu okrętów podwodnych — prawdopodobnie po trzech ludzi — były szkolone do tej wyprawy na szereg miesięcy przedtem. Ponieważ w okręcie nie ma miejsca na kuchnię ani na spanie przeto załoga wiozła ze sobą gotowe racje żywnościowe, które musiały wystarczyć aż do chwili, gdy wykonają swe zadanie. Przyzwyczajono ich do parnego, dusznego powietrza i do ciasnoty, w której musieli przebywać podczas podróży od swej bazy aż do celu.

"Tirpitz" był bardzo gruntownie chroniony. Otaczały go sieci stalowe, najpewniejsza zapora przeciw okrętom podwodnym i torpedom. Mimo to oba okręty przedarły się przez sieci aż pod sam niemal pancernik i z odległości tak bliskiej, że Niemcy strzelali do nich z krótkiej broni przypuścili niszczący atak.

London Gazette ogłaszając ten wyczyn nie podaje w jaki sposób "Tirpitz" został zaatakowany. Nie jest prawdopodobne, aby ataku dokonano torpedami. Nawet małe torpedy — które nie wyrządziłyby wielkiej szkody pancernikowi niemieckiemu — siłą swego wybuchu zniszczyłyby malutkie okręty podwodne.

Po ataku nie widząc możności ucieczki, obaj odznaczeni zniszczyli swe okręty a sami wraz z załogami dostali się do niewoli.

H. S. DOMINIK

Dla Polaków w Rosji: £10,815

Bezimiennie na Pomoc dla Polaków w Rosji sh.7.6. /słownie: siedem szylingów, d.6/.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze sh.7.6 /słownie: siedem szylingów i sześć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,815.9.1 /słownie: dziesięć tysięcy osiemset piętnaście funtów, dziewięć szylingów i jeden pens/ 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

"POLISH CHILDREN RESCUE FUND"

Szanowny Panie Redaktorze,

Jedna z moich znajomych Angielek — słysząc w radio opowiadanie o nędzy dzieci w Polsce przesłała na moje ręce £1 aby ofiarować go na pomoc dzieciom w Polsce.

Proszę uprzejmie o skierowanie tego funta pod właściwy adres.

za Juliet from Lowes

* * *

Panie Redaktorze,

Z podziękowaniem za fotografię reprodukowaną w "Polsce Walczącej," na której rozpoznałem brata, przesyłam sh.6 na dzieci polskie w Rosji.

Halton, 8.III.44.

junak Adamowicz

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Przesyłam na dzieci polskie w Rosji sh.20 na paczki od serca sh.10.

Z szacunkiem

M. Płoszajska

Sumę £2.6.0 /słownie: dwa funty, sześć szylingów/ przesłaliśmy do Polish Children Rescue Fund.

Biuro Związku Ziem Północno-Wschodnich czynne jest codziennie, /z wyjątkiem sobót/ od godz. 14.30 do godz. 17.

Adres: 45, Belgrave Square, Ognisko Polskie, czwarte piętro, pokój nr. 25.

TRZECI WIECZÓR LITERACKI

W sali Klubu "Orła Białego" odbędzie się w piątek o godz. 6-ej 17 marca b.r. trzeci wieczór autorski. Na program złożą się utwory: Mariana Czuchnowskiego, Ryszarda Kiersnowskiego i Karola Zbyszewskiego.

Słowo wstępne wygłosi Tymon Terlecki.

Utwory K. Zbyszewskiego recytować będzie p. Opieński.

Wstęp wolny, dobrowolne składki na "Paczki od serca" dla jeńców.

PEN Klub Polski w Londynie organizuje w dniu 28 marca b.r. w Ognisku Polskim /45 Belgrave Square/ wieczór autorski Stefanii Zahorskiej.

Czytany będzie dramat p.t. "Smocza 13," osnuty na tle dziejów ghetta warszawskiego. Udział wezmą: pp. Maria Balcerkiewicz, Mila Kamińska, Tola Korian, oraz artyści wojskowych czołówek teatralnych, których nazwiska podane będą wkrótce. Opracowanie reżyserskie Szczepana Baczyńskiego.

Zbiórka książek

Do Redakcji "Polski Walczącej,"

W załączeniu przesyłam dla Armii Polskiej na Wschodzie 5 książek: M. Kuncewiczowa: "Klucze," "Kraj lat dziecinnych," "Wielka Brytania, Kraj, ustrój, kultura," M. Lisiewicz: "Kroniki Naroczańskie," M. Rodziewiczówna: "Dewajtis."

* * *

Anonimowo: "1000 słów po angielsku."

* * *

Uprzejmie proszę o przesłanie dla naszych żołnierzy na Bliskim Wschodzie 5 książek zebranych w Szkole Pilotażu i przekazanych w dniu dzisiejszym pod adresem "Polski Walczącej."

Świetliczarka J.N.

Admin. FON i DARÓW M.O.N. wyjaśnia, że komunikat o paczkach niedoręczonych, który został ogłoszony w "Polsce Walczącej" z dnia 16.1.1944 r., nie jest aktualny, ponieważ jest on tylko opóźnionym ogłoszeniem komunikatu, który ukazał się w innych dziennikach polskich w W. Brytanii, w październiku 1943 r. i paczki, o które chodzi, zostały rozesłane do odpowiednich adresatów.

NA P.C.K.

£5 sh.8 d.9 uzyskane ze zbiórki w czasie pokazu filmów polskich w m. R. w dniu 6.III.1944 zostaje przekazane na P.C.K.

* * *

£1 nieprzyjęty przez Rev. Thomas McCann jako opłatę za salę na pokaz filmów polskich w m. R. zostaje przekazany na P.C.K.

Sumę £6.8.9 /słownie: sześć funtów, osiem szylingów i dziewięć pensów/ przesłaliśmy do Polskiego Czerwonego Krzyża..

Na "paczki od serca": £2,313

Zbiórka na "paczki od serca" w czasie wieczoru autorskiego Janusza Laskowskiego w Klubie "Białego Orła" wyniosła £1 sh.5 d.4½ /słownie: jeden funt, pięć szylingów, d.4½/, którą to sumę "Klub Białego Orła" przekazuje.

* * *

Na "Paczki od serca"

Nieprzyjęte przez księdza kapelana pułku za mszę św. na intencję Krystyny w dniu jej imienin sh.10.

por. W.L.

* * *

Dear Sir,

At the last committee meeting of the above Society it was decided to send as a donation to your fund for parcels to the Polish P.O.W. the sum of £23, the proceeds of a Chopin recital organized by the Secretary.

Yours faithfully;

Lilian Martindale, Hon. Treas. of Anglo-Polish Society, Oxford

Redakcja "Polski Walczącej" w Londynie,

W załączeniu przesyłam 1 British Money Order Nr. NX 63648 na sumę £21.15.6 /słownie: dwadzieścia jeden funtów, piętnaście szylingów i sześć pensów/ na pomoc jeńcom polskim w Niemczech.

Suma ta została zebrana przez uczniów i personel stały Dyonu Wyszkolenia Przedwstępnego.

Adiutant Dyonu por. pil. H.

* * *

Bezimiennie postal order na sh.2.6 na jeńców polskich w Niemczech.

* * *

Na paczkę "od serca" sh.10.

M. Płoszajska

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £47.3.4½ /słownie: czterdzieści siedem funtów trzy szylingi cztery i pół pensa/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £2,313.4.4 /słownie: dwa tysiące trzysta trzynaście funtów, cztery szylingi i cztery pensy/ 50 milrejsów brazylijskich i dwa dolary amerykańskie.

NOWA POLSKA

Nr. 2 rok III zawiera następujące utwory:

Antoni Słonimski: Do Rosjan, Władysław Malinowski: Wolność Polski i Wolność w Polsce, Stanisław Baliński: Polska podziemna, Julian Tuwim: Z kwiatów polskich, Ksawery Pruszyński: Margrabia Wielopolski, Maria Kuncewiczowa: Wbrew czasowi pogardy, Karol Estreicher: Ostatni znajomy Adama, Bolosław Pomian: Allah jest miłosierny i przebaczający, Mieczysław Pruszyński: Od Pirenejów do Libanu, Prof. Manfred Kridl: O pierwszej sowieckiej okupacji Wilna, Dorota Falska: "Machiavel-lidzi," H. S. Dominik: Podróż między wojownikami, Władysław Stankiewicz: James Crichton of Eliock Scotus Admirabilis

Cena 3/-

Prowadźcie Waszych brytyjskich przyjaciół na wystawę p.n.

POLISH AIR FORCE

Wystawa otwarta w dnie powszednie od 10. rano do 5. popoł., w niedziele od 11. rano do 4. popoł.

61, St. James's Street, S.W.1.

Od 10.III. do 10.IV.44.

WERINAJSEK

... ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

"ŚWIT, DZIEŃ I NOC" W BERLINIE ...



ROZMOWA PESYMISTY Z OPTYMISTĄ W BERLINIE

Pesymista: — Już wierzę, że tę wojnę Hitler musi przegrać!

Optymista, wzdychając: — Tylko kiedy?

GEN. BRYTYJSKI ROZMAWIA W I. DYWIZJI PANCERNEJ

—Kiedy dokonaliście inwazji W. Brytanii?

—24 czerwca 1940 roku!

—Wasz pierwszy przyczółek mostowy?

—Douglas — Lanarkshire!

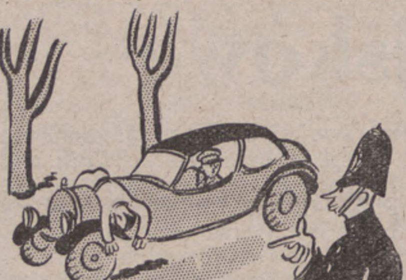
—Czy całkowicie opanowaliście teren?

—Tak. Zdobywaliśmy dom za domem.

—Zdobycze wasze?

—1.500 żon polsko-szkockich ...

OSZCZĘDNY KIEROWCA



—Zabity?

—Nie, tylko jest pod gazem, więc dmucha mi do gaźnika ...

PRZED DRUGIM FRONTEM



—Jakie dzisiaj przeprowadzacie ćwiczenia inwazyjne?

—Przebijanie głową muru ...

ACH TEN KOLUMB!

W Berlinie dochodzi do awantury między Goebbelsem a Goeringiem:

—Mówiłeś, że ani jeden samolot nie zjawi się nad Berlinem, tymczasem co się dzieje?! Ci Amerykanie rąbią codziennie! ...

—Co chcesz ode mnie! Możesz mieć tylko pretensje do Kolumba, który odkrył Amerykę! ...

PO CZTERECH LATACH

W czasie inspekcji oddziałów pancernych, gen. brytyjski zadaje pytanie:

—Czy to prawda, że ten wasz czarny naramiennik symbolizuje żałobę po stracie koni?

—Nie, Sir, tylko żałobę po stracie czasu ...

ROZMOWA SIERŻANTA Z "PESTKAMI"

—Chcecie "Pesteczki" pończochy?

—O, chcemy, będziemy bardzo wdzięczne!

—To jutro wam przyniosę do pocerowania ...

CZUŁE SERCE

Franio, ubran w nowiutkie,
przepiękne portczyny,
Wpadłszy raz do kominka, spalił
się do krztyny.
Dzisiaj chociaż już chłód mnie
z pokoju wygania,
Nie mam serca ożogiem wzruszać
prochów Frania.

Wyd.

TAKIE PROSTE

—Pan wie, dlaczego Amerykanie bombardują w dzień?

—? ? ?

—Ponieważ muszą być wyspani na następny dzień ...

PO PORADĘ

—Pan wie w jakim celu przybył do Londynu król Piotr?

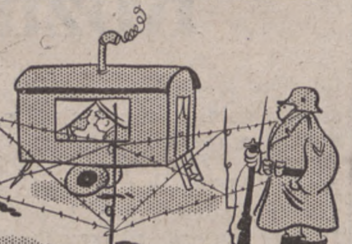
—Prawdopodobnie, ażeby zasięgnąć języka u Polaków w sprawie sytuacji politycznej ...

W POLSKIEJ RESTAURACJI

—Panno Maniu, przecież w tym "rizotku" nie ma ani śladu indyka!

—Bardzo przepraszam, ale pan zamówił tylko pół porcji. Być może, że indyk był w drugiej połowie ...

W OBOZIE JEŃCÓW W RZESZY



Niemiec: Ciekaw jestem, czy w Anglii znają też "campy-weekendowe"?

ODCIĄŁ SIĘ



—Feluś, w jakim celu nosicie te czarne sznurki? Czy to też pamiątka po koniach?

—Nie, to gwizdki, ażeby na wszystko gwizdać! ...

TRAFNA ODPOWIEDŹ

—Zdziwiony jestem — mówi major do wachmistrza z uniwersyteckim wykształceniem — więc pan został porucznikiem czasu wojny!

—Tak. Byłbym natomiast zdziwiony, gdybym został porucznikiem czasu pokoju ...

BOMBY I POMARAŃCZE

Wciąż wydarzenie owe
W pamięci swojej niańczę.
Co bardziej w nim czasowe:
bomby, czy pomarańcze?

Or-si

Tekst i rysunki: TONY

SPIS RZECZY:

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.

Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zareserwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.